

# Podróż po rzece Orinoko



ALEXANDER VON HUMBOLDT

# Podróż po rzece Orinoko

TŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

## PRZEDMOWA

Aleksander Humboldt, wielki podróżnik i odkrywca, urodził się w r. 1769 w Berlinie. Od wczesnej już młodości odznaczał się ogromną pracowitością w różnych polach nauki i położył niespożyte usługi. Już zaraz czasu pierwszej swej podróży przez Belgię, Holandię i z powrotem przez Paryż do Niemiec okazał, że pojmuje podróżowanie jako naukę badającą związek pomiędzy przejawami natury i obyczajami ludzi, każdego, danego kraju.

Podróże w kraje podzwrotnikowe w czasach Humboldta wymagały niesłychanego wysiłku i badania natrafiły na różne przeszkody, które je powstrzymywały.

Humboldt wyruszył do Ameryki Południowej za zezwoleniem rządu hiszpańskiego, który miał tam swe posiadłości, na fregacie hiszpańskiej imieniem „Pizarro”, i to razem z przyjacielem swym Francuzem Aimé Bonplandem<sup>1</sup>. Podróż trwała lat pięć i przez cały czas służyło Humboldtowi doskonale zdrowie, którym się zresztą za pobytu w ojczyźnie wcale nie cieszył. Czuł on się tak dobrze w okolicach podzwrotnikowych, że za powrotem palił w piecach ile się dało, chcąc utrzymać tę samą co tam ciepłotę. Spędzone na wilgotnym legowisku noce nad brzegami Orinoka<sup>2</sup> zostawiły mu pamiątkę w postaci reumatyzmu prawej ręki, tak że nie mógł pisać na stole, tylko na kolanie, pochylony nisko przy pracy. Zwiedził wyspę Teneryfę i wyszedł na szczyt Pika (Pic de Teneriffa)<sup>3</sup> wysokości 3700 metrów, po czym przepłynął Atlantycką, chcąc zaraz jechać na Kubę i do Meksyku, ale musiał skutkiem febry panującej na okręcie wylądować w Cumanie<sup>4</sup>. Pozostał tu przez półtora roku, badając Wenezuelę, góry pobrażne, pola zwane *llanos* i lasy nad Orinokiem. W wędrówkach swych zaszedł do przedziwnej groty, gdzie odkrył ptaka<sup>5</sup> nocnego wielkości kury, żywiącego się owocami, potem do Caracas<sup>6</sup>, gdzie wyszedł na niedostępny szczyt<sup>7</sup>, zwiedził plantacje kakaowca i trzcin cukrowej urządzone przez krajowców, dalej gorące źródła pod Walencją<sup>8</sup>, był w Cumanie świadkiem trzęsienia ziemi, odkrył drzewo tzw. „krowie”<sup>9</sup>, dające mleko roślinne, oraz widział połów drętw, czyli napełnionych elektrycznością węgorzy. Potem wraz ze swoim przyjacielem ruszył w słynną podróż po Orinoku, którą właśnie podajemy w przekładzie<sup>10</sup> polskim czytelnikom.

<sup>1</sup>Aimé Bonpland (właśc. Aimé Goujaud; 1773–1858) — fr. podróżnik i botanik. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Orinoka — dziś popr. forma ndm: Orinoko. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Pic de Teneriffa, właśc. Teide a. Pico del Teide — szczyt wulkaniczny na Teneryfie, 3718 m.n.p.m. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>Cumaná — miasto w Wenezueli u ujścia rzeki Manzanares. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Humboldt (...) odkrył ptaka nocnego — prawdopodobnie tłuszczak (łac. *Steatornis caripensis*) z rodziny lelkowych, jeden z niewielu gatunków ptaków posługujący się echolokacją (choć nie tak precyzyjnie jak nietoperze), gniazduje w jaskiniach. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>Caracas — miasto nad Morzem Karaibskim, od 1821 r. stolica Wenezueli. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>do Caracas, gdzie wyszedł na niedostępny szczyt — Cerro El Ávila, wysoki na 2740 m.n.p.m. szczyt w łańcuchu Cordillera de la Costa, oddzielający Caracas od Morza Karaibskiego; dziś na terenie Parku Narodowego Waraira Repano. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Walencja, Valencia — tu: miasto w stanie Carabobo północnej Wenezueli. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>drzewo tzw. „krowie” — hiszp. *árbol de la vaca*, łac. *Couma macrocarpa*, drzewo z rodziny toinowatych, rosnące w Ameryce Środkowej i Południowej, wydzielające sok mleczny, czyli naturalny lateks. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>podajemy w przekładzie — przekład na podstawie *Fahrt auf dem Orinoko*, skróconej wersji niem. opisu podróży, którego pełna wersja (ponad 600 str.) ukazała się jako *Voyage aux régions équinoxiales du Nouveau*

## ŚWIAT ZWIERZĘCY RZEKI APURE

Dnia 16 lipca 1799 roku stanęliśmy o świcie nad zielonym, malowniczym wybrzeżem. Widnokrag od strony południowej zamykały góry Nowej Andaluzji (czyli Wenezueli), a były na poły przysłonięte mgłą. Pośród grup palm kokosowych widniało w dali miasto Cumaná, z wyniosłym zamkiem swoim. O godzinie dziewiątej, w czterdzieści jeden dni od wyjazdu z Corunny w Hiszpanii, zarzuciliśmy w porcie kotwicę. Chorzy na febrę wyszli z trudem na pokład, radując się widokiem lądu, gdzie cierpienia ich miały wreszcie dobiec końca.

Dnia 18 listopada rozpięliśmy żagle, udając się wzdłuż wybrzeża do portu Guayra. Dwa miesiące spędziliśmy w mieście głównym, Karakas, a 27 marca dotarliśmy do San Fernando<sup>11</sup> nad Apure<sup>12</sup>, gdzie się miała rozpocząć podróż nasza po Orinoku<sup>13</sup>.

Wystaraliśmy się o bardzo szeroką pirogę, której załogę stanowił sternik (*el patron*) i czterech Indianie. W części tylnej zbudowano, w ciągu paru godzin, chatkę pokrytą liśćmi. Była tak obszerna, że pomieściły się w niej stół i ławki. Te ostatnie składały się z ram z drzewa brazyłowego, na których rozpięto skóry wołowe i obito gwoździami. Przytaczam ten szczegół, by pokazać, jak nam dobrze było na Apure w porównaniu do czasu spędzonego na Orinoku, w ciasnych, nędznych kanoach. Zabraliśmy na pirogę żywności starczącej na miesiąc, oraz kilka strzelb, używanych tu wszędzie, aż do katarakt. Dalej, ku południowi panuje taka wilgoć, że misjonarze nie mogą się posługiwać bronią palną.

W Río Apure żyje dużo ryb, krów morskich<sup>14</sup> i żółwi szylkretowych, których jaja są pożywne, ale zgoła niesmaczne, zaś nad brzegami widać nieprzeliczone stada ptactwa. Prócz zapasów, przyborów rybołówczych, łowieckich i broni zabraliśmy też kilka beczulek spirytusu, dla handlu zamiennego z Indianami nad Orinokiem zamieszkałymi.

Ruszyliśmy z San Fernando dnia 30 marca o czwartej popołudniu. Upał był wielki, termometr wskazywał w cieniu 34 st. Celsjusza mimo południowoschodniego wiatru. Wiatr ten nie dozwolił nam rozpiąć żagli. W całej podróży po Apure, Orinoku i Río Negro<sup>15</sup> towarzyszył nam szwagier namiestnika prowincji Varinas, don Mikołaj Sotto. Celem poznania dalekich okolic stanowiących dla Europejczyka ponętny przedmiot badania, spędził wraz z nami siedemdziesiąt cztery dni w ciasnej, rojącej się od moskitów kanoi. Był bardzo wykształcony, miły i wesoły, a to jego usposobienie pozwoliło nam niejednokrotnie zapomnieć o uciążliwościach nie zawsze bezpiecznej podróży.

Przez cały ciąg jazdy z San Fernando do San Carlos, potem po Río Negro i stamtąd do Angostury<sup>16</sup> zapisywałem dzień w dzień starannie, siedząc w kanoi lub też przy ognisku obozowym, wszystko co mi się wydało godnym uwagi. Zapiski te przerywały często nawalne deszcze albo uniemożliwiały roje moskitów, ale uzupełniałem je w dni kilka potem. Zamieszczam tu ciekawe wyjątki z tego pamiętnika.

Dnia 31 marca. Począwszy od Diamante wkroczyliśmy na terytorium zamieszkałe wyłącznie przez tygrysy<sup>17</sup>, krokodyle i świnię rzeczne<sup>18</sup>. Na niebie rysowały się stada ptaków, podobne czarnym chmurom, ciągle zmieniającym kształty. Na brzegach widniały krzaki, tworzące żywopłoty, jakby sztucznie przyszczyżone. Wielkie czworonogi tej krainy, tygrysy, tapiry i świnię pekari powylały w tych żywopłotach przerwy, którymi chodziły

Raj, Złoty wiek, Zwierzęta

*Continent, fait en 1799–1804, par Alexandre de Humboldt et Aimé Bonpland*, w latach 1814–1825 w Paryżu. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>San Fernando de Apure — miasto w Wenezueli, nad rzeką Apure; dziś stolica stanu Apure, w 1996 r. liczyło 110 tys. mieszkańców. Założone w 1788 r., zaledwie 11 lat przed wizytą Humboldta. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>Apure, Río Apure — rzeka w Wenezueli, dopływ Orinoko, liczy 1580 km długości. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>Orinoku — dziś popr. forma ndm: Orinoko. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>krów morska (niem. *Seekuh*) — tu: manat (*Trichechus inunguis* lub *Trichechus manatus*). W dzisiejszej polszczyźnie termin *krów morska* oznacza wytępiony gatunek *Hydrodamalis gigas*, żyjący do 1768 r. w Morzu Beringa. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Río Negro — rzeka w Ameryce Południowej o długości 2250 km, dopływ Amazonki, mająca też połączenie z Orinoko poprzez bifurkację (odnogę) rzeki Casiquiare. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>Angostura — miasto na terenie dzisiejszej wschodniej Wenezueli, od 1846 r. nosi nazwę Ciudad Bolívar. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>tygrys — tu: jaguar (dziś nazwy *tygrys* używa się tylko w odniesieniu do gatunku *Panthera tigris* żyjącego w Azji). [przypis edytorski]

<sup>18</sup>świnia rzeczna — (niem. *Chigüire*), tu: kapibara (*Hydrochoerus hydrochaeris*), duży gryzoń południowoamerykański. W dzisiejszej polszczyźnie termin *świnia rzeczna* odnosi się do afrykańskiego gatunku *Potamochoerus porcus*. [przypis edytorski]

do wody. Ponieważ nic sobie nie robiły z naszych kanoi, przeto przypatrywaliśmy się, jak chodziły z wolna po wybrzeżu i po chwili dopiero odchodziły przerwami w żywopłotach do lasu. Czasem ukazywał się na brzegu jaguar, piękna pantera amerykańska, to znów hokko<sup>19</sup>, o czarnych piórach, z kitką na głowie. Co chwila spostrzegaliśmy zwierzęta najrozmaitszych gatunków — *Es como en el paraíso!*<sup>20</sup> — mawiał nasz sternik — znaczyło, że jest tu jak w raju. Sternik był to stary Indianin z misji. W istocie przypominało to stan pierwotny świata, jego niewinność, szczęście, oraz prastare obyczaje. Ale przy baczniejszej obserwacji spostrzegaliśmy, że zwierzęta boją się wzajem siebie i unikają. Minął złoty wiek bezpowrotnie i stworzenia tego amerykańskiego raju wiedziały, że rzadko mieszka społeczeństwo łagodność i siła.

Na szerszych, piaszczystych, wolnych od krzaków częściach wybrzeża legiwały krokodyły, często po osiem i dziesięć. Jak kłody leżały bez ruchu z otwartymi szeroko paszczami, nie okazując towarzyszom swym żadnej sympatii, co czynią zawsze zwierzęta gromadnie żyjące. Były tak liczne, że niemal ciągle mieliśmy kilka przed oczyma, mimo że znajdowaliśmy się dopiero w górnym biegu rzeki. Tysiące ich spało zapewne w błocie sawanny. Około czwartej zatrzymaliśmy się, by zmierzyć martwego wyrzuconego na brzeg krokodyla. Miał tylko szesnaście stóp i osiem cali długości, drugi jednak znaleziony w parę dni później przez Bonplanda mierzył dwadzieścia dwie stopy i cztery cale. Indianie opowiadali, że w San Fernando porywają krokodyły kilku ludzi rocznie, zwłaszcza kobiety, czerpiące wodę z rzeki. Pewną dziewczynę z Uritucu<sup>21</sup> porwał krokodyl. Nie tracąc przytomności, wbiła mu ona palec w oko z taką siłą, że zwierzę jęknął z bólu i puścił łup. Dziewczyna zdołała dopłynąć do brzegu, mimo wielkiej utraty krwi, która tryskała z oderwanego przedramienia lewej ręki. Ludność tych okolic różnymi sztuczkami stara się codziennie ująć napaści tygrysa, boa dusiciela, krokodyla lub innego drapieżcy i każdy żyje w ciągłym pogotowiu.

Krokodyły żyjące w Apure poruszały się podczas ataku bardzo zręcznie, natomiast w chwili gdy nie były podniecone gniewem czy głodem, pełzały leniwo i ospale. Z dala już słyszeliśmy szelest, jaki wydawały zapewne poszczególne, trące o siebie płyty tarczy krokodyla, idącego po ziemi. W wodzie pływały prostolinijnie, zbaczając pod kątem, jak strzały trafiające w cel. Mogą się jednak także wyginać. Widziałem nieraz, jak młody krokodyl gryzł się w ogon, a inni zauważyli to samo u starych. Pływają one doskonale i to pod silny nawet prąd, zdaje się jednak, że płynące z prądem nie mogą szybko zawrócić. Wzięliśmy ze sobą w drogę wielkiego psa, pies ten został napadnięty w wodzie przez krokodyla i uratował się w ten sposób, że wykonał nagły skręt pod prąd. Krokodyl uczynił ten sam ruch, ale znacznie powolniej, tak że nie dosięgnął swego łupu.

Krokodyły Apury żywią się świniami wodnymi<sup>22</sup>, które żyją na wybrzeżach w stadach po kilkadziesiąt sztuk. Biedne te gryzonie, wielkości naszej świni, nie posiadają żadnej broni, biegają licho, pływają trochę lepiej, toteż pożerane bywają przez krokodyły w wodzie, a przez tygrysy na lądzie. Mnożą się za to szybko, jak świnki morskie sprowadzane do nas z Brazylii, i tym podtrzymują istnienie gatunku.

Pod Jovalem przybrał krajobraz nader dziki wygląd. Tutaj napotkaliśmy największego jaguara, jaki nam się pokazał na oczy przez cały ciąg podróży. Nawet Indianie zdumieli się jego długością, gdyż przekraczała długość największych tygrysów<sup>23</sup> amerykańskich. Zwierzę leżało w cieniu drzewa z łapą na ciele upolowanej świni wodnej, otoczony sępami, zwanymi tu *zamueros*. Czekwały na resztki uczty, objawiając jednocześnie strach i zachwalstwo. Podchodziły na dwie stopy do jaguara, ale za najmniejszym ruchem cofały się w popłochu. Chcąc się temu obrazowi lepiej przyjrzeć, podплыliśmy małą kanoą, jaką mieliśmy na pirodze naszej, wiedząc, że tygrys rzadko napastuje łódzie w wodzie i czyni to jeno w chwilach wielkiego podrażnienia głodem. Usłyszawszy szum wiosel, wstał z wolna i schował się w krzaki. Z ruchu tego skorzystały natychmiast sępy i rzuciły się

<sup>19</sup>*hokko* (niem. *Hocco* a. *Hokko*) — ptak z rodziny czubaczy, tu najprawdopodobniej czubacz kędzierzawy *Crax alector*, czubacz czerwodzioby *Crax blumenbachii* lub *pauxi*. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*Es como en el paraíso* (hiszp.) — tu jest jak w raju. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*Uritucu*, *Altigracia de Orituco* — dziś miasto w Wenezueli, ok. 100 km na pd.-wsch. od Caracas. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*świnia wodna* — tu: kapibara. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*tygrys amerykański* — dziś nazwy *tygrys* używa się tylko w odniesieniu do gatunku *Panthera tigris* żyjącego w Azji. [przypis edytorski]

na jego zdobycz. Ale wypadł zaraz i rozpędził je, bijąc się gniewnie ogonem po bokach. Porwawszy upolowaną zwierzynę, cofnął się w las, ku wielkiemu żalowi Indian, którzy radzi by byli wylądować i zaatakować go. Niestety, nie mieli ze sobą lanc<sup>24</sup>. Obeznani z tą bronią dobrze uczynili, nie ufając naszym strzelbom, które zresztą często zawodzą w tym wilgotnym powietrzu.

Spędziliśmy noc, jak zwykle, pod gołym niebem, ale na plantacji pewnego łowcy tygrysów. Był całkiem goły i czarnobrunatnej barwy, mimo to jednak zaliczał się do rasy białej. Żonę swą i córkę, również zresztą gołe, zwał: donna Izabela i donna Manuela. Przynieśliśmy ze sobą świnię wodną i chcieliśmy ją upiec, ale gospodarz zastrzegł się przed takim „czysto indiańskim” jedzeniem i ofiarował nam, jako ludziom wykwinnym, pieczone z jelenia, którego ubił poprzedniego dnia z łuku, gdyż nie posiadał strzelby ni prochu.

Byliśmy pewni, że poza laskiem bananowym stoi chata plantatora. Ale człowiek ten, tak dumny z przynależności do białej rasy i szlachectwa swego, nie uznał za potrzebne stawiać domu. zaproponował, byśmy zawiesili nasze hamaki na pninach drzew, tuż obok jego obozowiska, i zapewnił z miną wielce pyszną, że gdy wrócimy podczas pory deszczowej tą samą drogą, zastaniemy go już na pewno pod dachem (*baxo*<sup>25</sup> *techo*). Około północy zerwała się gwałtowna burza. Błyskawice rozdzierały powietrze, grzmiało przeraźliwie i deszcz nas przemoczył do nitki. Podczas tej burzy zdarzył się dziwny wypadek, który nas rozweselił po trosze. Kot donny Izabeli wdrapał się na tamaryndę tuż nad głową jednego z naszych towarzyszy. Strącony wichrem, spadł nań i zaczął drapać, a zbudzony ze snu nieborak krzyczał na całe gardło, przekonany, że go napadł jakiś dziki zwierz. Pospiesziliśmy mu na pomoc i przekonaliśmy się, że mu nic nie zagraża. Deszcz przemoczył nas samych, przybory i instrumenty, a mimo to winał nam gospodarz, don Ignacio, żeśmy nie nocowali na wybrzeżu, tylko w jego posiadłości *entre gente blanca y de trato* (pośród ludzi białych, z wyższych sfer). Trudno było, co prawda, dostrzec różnicę, ale nie sprzeciwiałem się.

Dnia 1 kwietnia o świcie pożegnaliśmy don Ignacia i jego żonę. Pochłodziło znacznie, bo termometr, wskazujący podczas dnia 30 do 35 stopni Celsjusza, spadł teraz na 24 stopnie. Prąd niósł ogromne masy drzewa. Oczom przedstawiała się bezkresna równia, przez którą siła prądu powinna by była wyżłobić sobie prostolinijny kanał. Tymczasem, zgola co innego mówiła karta<sup>26</sup>, którą wykreśliłem stosownie przy pomocy kompasu.

Woda nie natrafia na obu brzegach na ten sam opór warstw ziemi, a niedostrzegalne wprost wzniesienia gruntu powodują liczne zakręty. Minęliśmy płaską wysepkę, na której gnieździły się tysiącami różowe flamingi, gęsi-warzęchy, czaple i kurki wodne, co tworzyło razem obraz niezwykle barwny i ciekawy. Ptaki siedziały obok siebie tak gęsto, że zdawały się nie móc uczynić poruszenia. Wyspa ta zwie się też Isla de Aves — ptasia wyspa.

Dotarliśmy do miejsca, gdzie rzeka wyżłobiła sobie nowe koryto, przenocowaliśmy na pustym brzegu, że zaś trudny był dostęp po nocy do lasu, z wielką trudnością zdobyliśmy suche gałęzie na ognisko, bez którego nie można nocować, gdyż jest to jedyny sposób odstraszenia dzikich zwierząt.

Noc była cicha, księżycowa, nad wodą leżały krokodyle, patrząc w nasze ognisko. Zauważyliśmy, że światło je zwabia, podobnie jak ryby, raki i inne zwierzęta wodne. Indianie pokazali nam na piasku ślady trzech jaguarów, z których dwa były młode. Niezawodnie matka prowadziła tędy dzieci swe do wody. W braku drzew, zatknęliśmy wiosła w piasek i w ten sposób zawiesiliśmy nasze hamaki. Do jedenastej cicho było, potem jednak powstał w pobliskim lesie taki hałas, że trudno było zasnąć. Wrzeszczały razem wszystkie zwierzęta, z tego rozgwaru wyróżnić można było poszczególne głosy małych ogoniastych, zwanych diabłami leśnymi, wyjców, jaguarów, kuguarów czyli lwów amerykańskich pozbawionych grzywy, świń piżmowych, leniwców, hokka, paraguay i innych ptaków z rodziny kuraków. Pies nasz, szczekający bezustannie, zaczynał wyc za zbliżeniem się jaguara i uciekał pomiędzy hamaki. Często po krótkiej przerwie zaczynały ryczeć z wierzchołków drzew kuguary, oraz dolatywały przeciągłe pogwizdy małych głoszących niebezpieczeństwo.

<sup>24</sup>lanc — tu: włócznia. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>baxo techo, dziś popr.: *bajo techo* (hiszp.) — niski dach. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>karta — tu: mapa. [przypis edytorski]

Pozycja społeczna, Ambicja

Dom

Takie noce miewaliśmy na Apure i przywykliśmy do nich z czasem dopiero. Przez całe miesiące, podróżując wodą, żyliśmy w ciągłym sąsiedztwie drapieżców. Beztroska Indian naszych dodawała nam jednak odwagi. Wmawialiśmy w siebie za ich przykładem, że np. jaguary boją się ognia i nie napadają nigdy śpiącego w hamaku człowieka. W istocie przez cały czas pobytu w Ameryce Południowej usłyszałem o jednym jeno wypadku rozszarpania pewnego *llanero*, czyli myśliwca śpiącego w swej siatce napowietrznej<sup>27</sup>.

Pytaliśmy Indian, czemu zwierzęta robią taki hałas o pewnych godzinach nocy, a oni odpowiadali żartobliwie: — Modlą się do księżycy! — Oczywiście zwierzęta polują i walczą ze sobą w ciemni nocnej. Jaguary napadają świnie piżmowe, a zwierzęta te bronią się w ten sposób, te zbite w wielkie stada, pędzą na oślep, depcąc i wyrывая krzaki i zarośla. Przerazone małpy gwizdzą z drzew, zwiększając hałas, a ptaki dopełniają koncertu. Przekonałem się zresztą, że nie tylko w księżycowe noce tak hałasują zwierzęta, dzieje się to także podczas burzy i nawalnego deszczu. Niech Bóg nam użycz spokojnej nocy! — mawiał pewien mnich, z którym odbyliśmy część drogi po Río Negro. Nie było to, zaiste, zdawkowym życzeniem, bo nieraz, upadając po trudach dnia, nie mogliśmy zasnąć, mimo żeśmy się znajdowali<sup>28</sup> przecież w pustoci leśnej i zupełnej samotni.

Dnia 2 kwietnia wyruszyliśmy przed świtaniem. Ranek był pogodny i stosunkowo chłodny, gdy termometr w powietrzu wskazywał tylko 28 stopni Celsjusza. Ale piasek wybrzeża wystawiony bezpośrednio na promieniowanie słońca miał temperaturę 36 stopni. Po rzece sunęły długimi szeregami delfiny (toniny)<sup>29</sup>, a brzegi pokryte były ptakami rybożernymi. Niektóre wskakiwały na pływające kłody drzewa i chwytaly zniemacka łup. Kilkanaście razy natknęliśmy się na sterczące skośnie z wody pnie, które tkwią tak całym latami i narażają na rozbitcie słabsze łodzie. Podczas przyływu morza pnie te dostają się do rzeki i zatykają ją czasem całkiem, tak że jazda pod prąd jest wprost niemożliwa. Pirogi krajowców rozbijają się na wytworzonych przez to mieliznach i wirach.

Od czasu wyjazdu z San Fernando nie napotkaliśmy ani jednej kanoi na tych pięknych wodach. Wokoło panowała zupełna samotność. Rankiem dnia 3 kwietnia schwyтали nasi Indianie na wędkę rybę, zwaną tu *caribe*<sup>30</sup> lub *caribito*. Jest ona tak krwiożercza, że napada ludzi podczas pływania i wyrывa im spore kawałki ciała. Chociaż jedna rana jest niewielka, to napadniętemu trudno ująć z życiem, gdyż zanim dopłyne do brzegu, cały bywa poszarpany. Indianie boją się bardzo tej ryby i pokazywali mi liczne, głębokie blizny pochodzące z jej ukąszenia. Żyje ona na dnie, ale wystarczy wpuścić kilka kropel krwi w wodę, a natychmiast wypływają tysiące na powierzchnię. Są one bardzo liczne, a chociaż mają zaledwo osiem do dwunastu centymetrów długości, to skutkiem swych ostrych, trójsiecznych zębów i rozszerzalnej niezwykle paszczy stanowią plagę ludności. Rzuciliśmy kilka kawałków krwawego mięsa w miejsce, gdzie woda była zupełnie czysta, bez śladu jakichkolwiek zwierząt. Natychmiast niemal wypłynęło stado *caribów* i rzuciło się na żer.

Wylądowaliśmy około południa na pustkowiu, z dala od lasu. Towarzysze nasi wyciągnęli łódź na ląd i zabrali się do przyrządzania posiłku, ja zaś ruszyłem brzegiem, chcąc się przypatrzeć grupie śpiących w słońcu krokodyli. Małe, śnieżnobiałe czaple biegały im po grzbietach, głowie, a nawet wlażyły do otwartych paszcz. Były zielonawe i pokryte błotem, tak że można je było wziąć za odlewy spiżowe. Spacer ten omal mnie nie pozbawił życia. Zapatrzonej w rzekę przystanąłem, by podnieść kawałek lyszczyku, gdy nagle ujrzałem świeży trop jaguara, tak łatwy do rozpoznania. Obejrawszy się, zobaczyłem w odległości jakichś 80 kroków ogromną bestię leżącą pod drzewem, w gąszczu. Nie widziałem dotąd tak wielkiego zwierza z rodziny tygrysów.

Przerażony wielce, nie zapomniałem jednak o naukach pewnego Indianina, który mi powiedział, jak się należy zachować w takim wypadku. Poszedłem dalej powolnym krokiem, nie ruszając rękami. Przekonałem się niebawem, że cała uwaga zwierza skierowana

<sup>27</sup> *siatka napowietrzna* — hamak. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *znajdywać* — dziś raczej: *znajdować*. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *tonina* (hiszp.) — tu: słodkowodny waleń z gatunku *Inia geoffrensis*, żyjący w dorzeczach Amazonki i Orinoko. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *caribe* — nazwa wielu ryb z podrodziny piraniowatych (*Serrasalminae*), tu najprawdopodobniej mowa o *Pygocentrus cariba*, *piraña del Orinoco*. Opisy krwiożerczości tych ryb uważa się dziś za przesadzone. [przypis edytorski]

była na stado tapirów, przepływających rzekę. Po dobrej chwili zawróciłem ku brzegowi, opisując duże koło. Ciągle miałem ochotę obejrzeć się, czy jaguar idzie za mną. Na szczęście uległem tej pokusie dopiero w znacznej odległości i spostrzegłem, że jaguar został na miejscu. Widocznie te wielkie koty z pstrą sierścią tak są tutaj nasycone tapirami, świniami piżmowymi i jeleniami, że nie biorą się do człowieka. Dopadłem bez tchu obozowiska i opowiedziałem swą przygodę, ale Indian jakoś wcale to nie wzruszyło. Mimo to nabiliśmy strzelby i poszliśmy na miejsce, gdzie napotkał jaguara, ale go już nie było. Szukać go po lesie nie chciałem, gdyż trzeba było iść z osobna albo torować sobie drogę przez gęste pnącze.

Wieczorem minęliśmy ujście *Caño del Manati*, tak zwane z powodu ogromnej ilości połowionych tu krów morskich (*manati* lub *lamanti*). To trawożerne wodne zwierzę ssące dochodzi tu do dziesięciu i dwunastu stóp długości, zaś waży 500 do 800 funtów. Wodę pokrywały ich odchody podobne do bydlęcych, ale bardziej cuchnące. *Lamanti* połyka mnóstwo trawy, ma żołądek podzielony na mnóstwo komór i sto osiem stóp długie kiszki. Sam widziałem to wszystko napełnione trawą. Rozciąwszy to zwierzę, zdumiałem się wielkością, kształtem i położeniem płuc jego. Tkanka płuc ma wielkie oczka i przypomina ogromny pęcherz pławny. Łapia je przeważnie po znaczniejszych powodziach, kiedy się z rzek dostają do licznych jezior i moczary. Ze skóry krowy morskiej, półtora cala grubej, robią pletnie<sup>31</sup>, używane niestety na niewolników, a nawet Indian, których prawo uznaje za wolnych obywateli.

Indianie nasi rozłożyli tuż nad wodą wielkie ognisko i ponownie zauważyłem, że światło przywabia krokodyla, a nawet delfiny (toniny), które sprawiają hałas, przeszkadzający w spaniu.

Tej nocy dwa razy zrywaliśmy się na nogi. Raz podeszła do obozowiska samica jaguara z młodymi, by je napić w rzece, a gdy ją odpędzono, jaguarzeta miauczały długo, niby nasze koty. Niedługo potem ukąsił naszego psa w nos jeden z olbrzymich, latających wokół ognia nietoperzy. Pies wył żałośnie nie tyle z bólu, co ze strachu przed nieznanym stworzeniem.

Dnia 4 kwietnia spostrzegliśmy z niejakim wzruszeniem po raz pierwszy upragnione z dawna wody Orinoka i to w miejscu tak bardzo odległym od wybrzeża morskiego.

## WYSPA ŻÓŁWI SZYLDKRETNIKÓW

Z chwilą opuszczenia wód Apure znaleźliśmy się w całkiem odmiennym kraju. Oczom naszym ukazała się bezbrzeżna, podobna olbrzymiemu jezioru płaszczyna wody. W powietrzu nie brzmiały już przenikliwe wrzaski czapel, flamingów i warzęch przelatujących z brzegu na brzeg. Daremnie też rozglądaliśmy się za ptakami pływającymi. Życie przyrody nie było tu tak bujne. Gdzieniegdzie tylko w zatokach duże krokodyle przecinały w poprzek pole, sterując potężnymi ogonami. Widnokrąg otaczał pas lasów, ale nie dochodziły one aż do koryta rzeki. Brzegi spalone żarem, nagie, jałowe, jak brzegi morza wydawały się z oddali, skutkiem załamania światła, wielkimi łachami wody stojącej.

Mieliśmy silny wiatr od północnego wschodu, co nam ułatwiało żeglowanie pod prąd w stronę misji Encaramada, ale piroga nasza stawiała tak mały opór wodzie, że skłonni do choroby morskiej czuli się bardzo nieswojo. Bałwany powstają skutkiem zderzenia się dwu prądów rzecznych.

W porcie misji Encaramada spotkaliśmy karaibskiego kacyka zdążającego w swej pirrodze pod prąd rzeki na słynny połów żółwi szyldkretowych. Był małomówny, poważny, a holdy oddawane mu przez święte świadczyły, że jest wielką osobistością. Ubranie jego nie różniło się zresztą od strojów dworzan, wszyscy byli mianowicie nadzy, pomalowani i mieli w rękach łuki i strzały. Władca, świta, służba, broń, przybory i łódź, wszystko było posmarowane na czerwono. Karaibowie ci byli niemal atletycznej budowy ciała i przestali znacznie Indian, jakich dotąd widzieliśmy. Mieli gęste, gładkie włosy, przycięte nad czołem i czarno barwione brwi, co przy bystrym, przenikliwym spojrzeniu nadawało im wygląd twardy. Rosłe, bardzo brudne i budzące wstręt kobiety miały dzieci na plecach.

Dnia 6 kwietnia przybyliśmy do *Boca de la Tortuga*, czyli do portu żółwiego. Koło południa zarzucono kotwicę u wyspy, pośród rzeki położonej, a słynnej z połowu żół-

<sup>31</sup>pletnia — bicz, pejcz. [przypis edytorski]

wi, czyli, jak tu mówią, dorocznego zbioru jaj. Zastaliśmy mnóstwo Indian koczujących w chatach z palmowych liści. Obozowisko składało się z trzystu co najmniej ludzi. Nawykli do samotności od wyjazdu z San Fernando i podczas podróży po Apure, zdziwiliśmy się ruchem, jaki tu panował. Każdy szczerp był innym kolorem pomalowany. Pośród Indian było kilku białych, kramarzy z Angostury, zwanych *pulperos*. Przybyli oni na zakup oleju żółwego. Napotkaliśmy też misjonarza z Uruany. Zdumiony był naszą obecnością, przyborami i instrumentami i w sposób przesadny odmalował trudy i niebezpieczeństwa podróży przez Orinoko, aż poza katarakty. Tajemniczym wydał mu się także cel naszej podróży:

— Któż uwierzy — powiedział — żeście wyruszyli z ojczyzny po to, by się dać zjeść moskitom na Orinoku i by odmierzać ziemię, która nie jest własnością waszą?

Ten zakątek ściąga ludzi zewsząd, podobnie jak w Europie targi lipskie lub frankfurckie.

— Jak okiem sięgnąć — dodał misjonarz — znajdują się pod warstwą ziemi żółwie jaja.

Pouczał nas, szturchając długą łaską, jak należy badać głębokość jajonośnego pokładu, na sposób górnika sondującego warstwę marglu, rudy żelaznej czy węgla.

Orinoko zaczyna przybierać w okresie wiosennego zrównania dnia z nocą, toteż od stycznia blisko do końca marca wybrzeża rzeki są suche. Jawią się tu w czasie składania jaj tysiączne rzesze żółwi. Wędrują szeregami, wyciągnawszy szyje ponad wodę i bacznie śledząc, czy nie grozi niebezpieczeństwo od tygrysów<sup>32</sup> i ludzi. Indianie ustawiają wzdłuż brzegów strażę, by żółwie mogły spokojnie składać jaja i by się nie rozpraszały. Statki muszą też stawać pośród wody, a załoga milczy, nie chcąc ich straszyć. Składanie jaj odbywa się zawsze nocą, poczawszy od zachodu słońca. Zwierzę wykopuje długimi tylnymi nogami o skośnych pazurach dziurę trzy stopy długą i dwie stopy głęboką. Żądza składania jaj jest u żółwi tak wielka, że nieraz składają one dwie warstwy, jedną na drugiej, w nieprzykryte jeszcze doły swych towarzyszy. Misjonarz rozkopywał łaską piasek i pokazywał nam mnóstwo jaj zgniecionych podczas tego zapalczego składania. Straty dochodzą jednej trzeciej całego plonu. Widzieliśmy piasek kwarcowy i potłuczone skorupy zlepione w wielkie gruzły żółtkiem jaj. Jest tyle żółwi na brzegu, że nieraz zastaje je dzień na składaniu jaj. Wówczas spieszą się jeszcze bardziej, by znieść i przykryć je przed wzrokiem tygrysa, nie zważając na bezpieczeństwo własne. Dzieje się to w oczach Indian przybywających rankiem nad brzeg, którzy zwą te żółwie „szalonymi”.

Indianie rozkopują ziemię rękami, zbierają jaja w koszyki, niosą do obozu i rzucają w wielkie kadzie z wodą. Tam je rozgniatają szuflami i mieszają masę, aż pływające po powierzchni żółtko należycie zgęstnieje. Tę część tłustą zbierają i gotują na silnym ogniu. O ile jest to należycie wykonane, produkt daje olej czysty, bezwonny, z lekka jeno żółtawy. Misjonarze cenią go jak najlepszą oliwę i używają do potraw. Mimo szybkości tej operacji niezliczone masy małych, wyklutych żółwi rozpraszają się po brzegach rzeki. Widziałem sam w składzie głównym w Uruanie młode, na cał szerokie żółwie umykające do wody przed dziećmi indyjskimi<sup>33</sup>.

Pokazywano mi ogromne skorupy żółwi wypróżnione przez jaguary. Także i tygrysy ściągają żółwie po brzegu, przewrócą na grzbiet i zjadają wygodnie, wrywając mięso pomiędzy pancerza brzuszego i górnego. Tygrys przewraca więcej żółwi, niż ich może zjeść w ciągu nocy, leżą one więc w ten sposób ubezwładnione, a Indianie korzystają z tego.

Wydobycie mięsa pomiędzy pancerzy jest rzeczą trudną, a tygrys postępuje jak najwprawniejszy chirurg, przegryzając mięśnie, stawy i podnosząc pancerze z jednej strony. Włazi on nawet w niezbyt głęboką wodę, ściągając zdobycz i wygrzebuje jaja. Żółw ma w nim tedy nie lada wroga, również krokodyl, czapla i *galinazo*, rodzaj sępa, pożerają mnóstwo młodych żółwi. Ubiegłego roku nawiedziła taka masa krokodyli, podczas zbioru jaj żółwich, wyspę Pararuma, że Indianie schwytali w ciągu jednej nocy osiemnaście sztuk, długich na dwanaście do piętnastu stóp, używając do tego długich żelaznych haków, z mięsem krów rzecznych, jako przynętą. Poza zwierzętami szkodzą wytwarzaniu

<sup>32</sup>tygrys — tu: jaguar (dziś nazwy tygrys używa się tylko w odniesieniu do gatunku *Panthera tigris* żyjącego w Azji). [przypis edytorski]

<sup>33</sup>indyjski (tu daw.) — indiański. [przypis edytorski]



oleju żółwiego także Indianie dzikich szczepów, którzy zabijają zatrutymi strzałami wygrzewające się na słońcu żółwie. Dzieje się to w czasie pierwszych deszczów wiosennych, tak zwanych „deszczów żółwich”.

Około czwartej po południu podnieśliśmy kotwicę. Wiatr dął chwilami silnie. Od chwili kiedyśmy się znaleźli w górzystej okolicy, zauważyliśmy, że żagle pirogi naszej są bardzo lichy urządzone. Ale „patron” łodzi chciał pokazać zebranym na brzegu Indianom, że mimo to zdoła z wiatrem wypłynąć na środek rzeki. W chwili gdy słał nam swą odwagę i zręczność, uderzenie wichru położyło statek na boku. Od razu staliśmy po kolana w wodzie, a fala przeleciała przez stół w tylnej części umieszczony, przy którym właśnie pisałem. Zdołałem ocalić sam jeno pamiętnik, reszta zaś, to jest papiery, książki i zasuszone rośliny spłynęły na powierzchnię rzeki. Zerwał się Bonpland, śpiący w pirodze, i zaczął akcję ratunkową z zimną krwią, która go nigdy nie opuszczała. Wiatr podnosił chwilami zatopioną burtę łodzi, nie straciłem tedy nadziei. Mogliśmy zresztą dopłynąć do brzegu, ponieważ w pobliżu nie było krokodyli.

Nagle zerwała się lina żagla i ten sam wicher, który nas obalił, postawił pirogę w normalnej pozycji. Wyczerpaliśmy wodę lupinami z dyni, naprawili żagiel i w niespełna pół godziny wszystko było gotowe do dalszej podróży. Uratował nas cud istny. Czynilem wyrzuty sternikowi, on zaś odparł z indyjską<sup>34</sup> flegmą, że „białym ludziom nie zabraknie tu słońca dla wysuszenia papierów”. Przepadł nam tylko pierwszy tom *Pokoleń roślinnych*<sup>35</sup> Szrebera, ale strata owa w tych warunkach była bardzo dotkliwa.

Za nadejściem nocy stanęliśmy na samotnej wysepce, w pobliżu misji Uruana. Spożyliśmy wieczerzę, siedząc na olbrzymich pancierzach żółwi, leżących w piasku, a przyświecał nam wspaniale księżyc. Radowało nas, że nikogo nie brakło. Wyobrażaliśmy sobie, co musi odczuwać człowiek, który ocalał sam jeno z katastrofy i błądzi po wyspie, nie mogąc nawet dopłynąć do brzegu Orinoka z powodu krokodyli i ryb krwiożerczych.

Dnia 7 kwietnia przepłynęliśmy rodzaj cieśniny, gdyż koryto zwiężyły tu strome skały.

Daremnie szukałem roślin w szczelinach tych pionowych ścian, nieznacznie uwarstwionych. Skały te obsiadły gęsto legwany i gekosy<sup>36</sup>, o szerokich, skórzastych palcach nóg. Jaszczurki trwały w bezruchu zupełnym, z otwartymi paszczami i podniesionymi głowami, sycąc się gorącem, które, jak stwierdziłem termometrem przyłożonym do skały, wynosiło 52<sup>37</sup> stopnie Celsjusza. Ziemia zdawała się falować skutkiem drgania powietrza, cisza panowała zupełna, a słońce sięgało zenitu i odbijało się w wodzie jaskrawo od rudawej mgły przysuwającej<sup>38</sup> wszystkie przedmioty.

Głębokie czyni wrażenie w tych gorących okolicach cisza południowa. Zwierzęta leśne zagrzebują się w gęstwinę, ptaki włączają pod liście drzew lub szczeliny skał. Ale ucho chwytta głuchy szelest, nieustanny brzęk owadów krążących w niższych warstwach powietrza wokoło spalonych słońcem roślin. Nic lepiej uzmysłowić nie może potęgi organicznego życia. Z każdego krzewu, wypróchniałego pnia, ze szczeliny skalnej, z ziemi dolata cichy akord życia. Jaszczurki, stonogi, cecylie<sup>39</sup>, drążą sobie podziemne chodniki, a odgłos ten wyraźnie pochwycić można w gęstwinie. Tysięczne tony świadczą, że wszystko w naturze oddycha, rozkwita w tysiącznych kształtach i napełnia powietrze, ziemię i wodę.

Dziewiątego kwietnia dotarliśmy rankiem do Pararumy i napotkaliśmy obóz Indian, przypominający takż obóz w *Boka de la Tortuga*. Zebrali się, by zbierać jaja i gotować olej. Ale przybyli, niestety, o parę dni za późno. Młode żółwie wykluły się już, a także okoliczność tę wyzyskały krokodyle i garczje, wielkie, białe czaple. Ptaki te lubią niezmiernie mięso młodych żółwi i pożerają je tysiącami. Wyruszają na łowy nocą, bowiem żółwie wylazły z ziemi dopiero o zmierzchu i zdążają ku wodzie. Sępy, zwane *zamueros*, są zbyt leniwe, by polować po zachodzie. Za dnia wałęsały się w pobliżu obozu Indian, porywając jadalno. Zazwyczaj muszą one dla zaspokojenia głodu chwytac na lądzie lub po płycznach młode, kilkucalowej długości krokodyle. Krokodylęta bronią się wrogom w ten sposób,

<sup>34</sup>indyjski (tu daw.) — indiański. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*Pokolenia roślinne* — *Genera Plantarum* Karola Linneusza, wydane pierwszy raz w 1737 r., tu mowa wydaniu uzupełnionym przez Johanna Christiana Daniela Schrebera (1739–1810). [przypis edytorski]

<sup>36</sup>gekos — gekon. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>52 stopnie Celsjusza — w pełnej wersji niemieckiej figuruje w tym miejscu liczba 50,2. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>przysuwający — tu: zasnuwający. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>cecylie, właśc. *Caecilia* — rodzaj płazów beznogich. [przypis edytorski]

Katastrofa

Natura, Cisza

że stają na przednich nogach, garbią grzbiet i, rozwierając paszczę, straszą zębami, które są już długie i ostre u wyklutych<sup>40</sup> świeżo młodych. Przy tym obracają się przodem do wroga, choć czynią to powoli i niezdarnie. Często zdarza się, że podczas gdy jeden *zamuro* zajmuje uwagę zwierzątka, drugi spada nań z góry, porywa za kark i unosi w powietrze.

W Pararumie napotkaliśmy pośród Indian kilku białych, z Angostury. Skarżyli się oni nudnie na zły zbiór jaj i szkody wyrządzone przez tygrysy. Wszedłszy do wnętrza *ajupy*, czyli szałas, ujrzelśmy w obozie Indian misjonarzy z Carichany i okolic katarakt. Grali w karty i palili z długich fajek. Mieli głowy ostrzyżone, długie brody, niebieskie fałdziaste kaftany i wyglądali na orientalów. Zakonnicy ci przyjęli nas bardzo gościnnie i udzielili informacji potrzebnych w dalszej drodze. Od kilku miesięcy trapiła ich silna febra powracająca co trzy dni, byli bladzi, wyczerpani i patrząc na nich, przekonaliśmy się, że zdrowie nasze będzie narażone na poważny szwank w okolicach, jakie zwiedzić zamierzamy.

Tutaj odmówił nam dalszych usług sternik Indianin, wiozący nas z San Fernando przez Apure do Pararumy. Nie chciał on za nic jechać przez wodospady Orinoka i musieliśmy się poddać jego woli. Na szczęście sprzedał nam jeden z misjonarzy z Carichany bardzo tanio piękną pirogę, a misjonarz z Atures i Maypures w okolicach wielkich katarakt, pater Bernardo Zea oświadczył, chociaż był chory, że dowiezie nas do granicy Brazylii. Wielki był tu brak Indian zdecydowanych ruszyć poza wodospady, toteż gdyby nie misjonarze, musielibyśmy byli pozostać przez całe tygodnie w tej wilgotnej, niezdrowej okolicy. Lasy nad Río Negro uważali wszyscy za kraj cudowny i rzeczywiście okazało się potem, iż powietrze było tam świeższe, rzeka wolna od krokodyli, co umożliwiała kąpiel nawet w nocy, a owady nie kąsały tak jak na Orinoku. Pater Zea żywił nadzieję odzyskania zdrowia na Río Negro, gdzie miał objechać poszczególne stacje misyjne. Mówił o tamtych okolicach z zapalem, jakie zawsze budzi rzecz nieznaną.

Zebrani w Pararumie Indianie dziwne wywołali we mnie refleksje. Człowiek kulturalny patrzący na dzikich nie może się zgodzić, by to miał być typ pierwotny ludzkości i by ci ponurzy, milczący, obojętni Indianie wyobrażali człowieka w dziecięcym okresie jego rozwoju. Wolimy przypuszczać raczej, że ci tubylcy, smarujący ciało błotem i tłuszczem, siedzący bezmyślnie na żółwich pancierzach wokoło ogniska i zagapieni na przyrządzany napój, są to resztki zwyrodniałych ludzi pierwotnych, żyjących bardzo dawno wśród tych lasów, a popadłych dziś w barbarzyństwo.

Dziki

## WODOSPAD W ATURES

Nowa przeznaczona dla nas piroga naładowana została jeszcze przed wieczorem. Była ona, jak wszystkie indyjskie<sup>41</sup> kanoe, wyciosana i wypalona potem z pnia drzewa, długa na stóp czterdzieści, a trzy stopy szeroka. Nie mogły w niej siedzieć obok siebie trzy osoby. Pirogi są łatwo zwrotne i chybkie, ale zarazem tak mały opór stawiają wodzie, że chcąc na chwilę wstać, trzeba wołać na wiosłarza, by przesiadł się na przeciwległą stronę. Inaczej nierównomiernie rozłożony ciężar spowoduje zanurzenie jednej z burt pod wodę. Trudno sobie wyobrazić, jak łódź taka jest niewygodna.

Dopiero 10 kwietnia o dziesiątej rano mogliśmy wyruszyć w drogę. Z trudem przywykliśmy do nowej pirogi, będącej nowym więzieniem. Chcąc zyskać bodaj trochę na szerokości, zrobiliśmy w części tylnej poprzeczną kratę z prętów sterczącą po obu stronach poza burty, nad nią zaś dach z liści. Ale dach ten, *el toldo*, był bardzo niski, tak że trzeba było pod nim siedzieć w kucki albo leżeć, nie widząc nic. Nie sposób było podnieść dachu, gdyż dawałby zbyt wielki opór wiatrowi i utrudniał wiosłowanie pod prąd rzeki, a przy tym obciążyłyby łódź, którą i tak trzeba było wlec lądem od jednej do drugiej katarakty. Pod dachem mogły leżeć cztery osoby, ale nogi wystawały daleko poza kratę, a w razie deszczu mokliśmy aż do kolan. Posłanie ze skór wolich i tygrysich<sup>42</sup> nie było również wygodne, gdyż pręty gniotły poprzez cienką ich warstwę. Przednią część pirogi zajmowali wiosłarze, z krótkimi łopatkami<sup>43</sup>, wiosłujący w takt monotonnej pieśni. Klatki, coraz to liczniejsze, z małpami i ptakami wisiały pod dachem. Była to nasza menażeria

<sup>40</sup>wykluty — tu: wykluty. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>indyjski (tu daw.) — indiański. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>tygrysi — tu: jaguarzy, związany z jaguarem. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>łopatką — tu: wiosło, pagaj. [przypis edytorski]

podróżna, a chociaż dużo zginęło skutkiem przypadków i z gorąca, to jednak po powrocie z Casiquiare mieliśmy ich jeszcze czternaście. Podczas obozowania zwierzęta i przyrządy umieszczano zawsze pośrodku, wokoło hamaki, potem ślali sobie łoża Indianie, a na zewnątrz rozpalano krąg ognisk, dla odstraszenia jaguarów. O świcie małpy zaczynały wrzeszczeć w odpowiedzi małpom leśnym, a ta sympatia zwierząt w niewoli dla zwierząt wolnych była wprost wzruszająca.

Piroga była tak przepelniona, że suszone rośliny, kufry, sekstans, kompas i instrumenty meteorologiczne mieściły się pod kratą, na której leżeliśmy wyciągnięci przez większą część dnia. Chcąc dobyć coś z kufra czy użyć instrumentu, trzeba było przybijać do brzegu i wysiadać. Dołączała się do tych niewygód jeszcze pląga moskitów, grasujących pod niskim dachem, oraz żar wydzielany przez nagrzane z góry liście palmowe. Co chwila staraliśmy się urządzić jakoś znośniej, ale nie było sposobu. Jeden krył się przed komarami pod prześcieradło, drugi radził rozpaść pod dachem ognisko dla ich odpędzenia. Ale dym gryzł w oczy, a ognisko zwiększało jeszcze upał. Wszystkie te przeciwności znosiliśmy jednak jakoś pogodnie, złączeni serdeczną sympatią i rozkoszując się wspaniałą przyrodą tych okolic nadbrzeżnych. Szczegóły te podaję też nie po to, by się użalać, ale dla scharakteryzowania żeglugi po Orinoku i uzasadnienia, czemu nie mogliśmy, wraz z Bonplandem, mimo najlepszych chęci, dokonać wszystkich spostrzeżeń i wykorzystać naukowo w pełnej mierze podróży.

— Od misji mojej będziecie podróżowali jak niemi — rzekł zacny zakonnik, przybywszy do Uruany. Przepowiednia ta ziściła się niemal dokładnie. Często nie mogliśmy się porozumieć z krajowcami mimo kilku tłumaczy i wielokrotnego powtarzania jednych pytań. Istnieje takie mnóstwo narzeczy nad Metą<sup>44</sup>, Orinoko, Casiquiare<sup>45</sup> i Río Negro, że nie sposób ich ogarnąć przy największych nawet zdolnościach językowych. Taka była sytuacja nasza począwszy od Angostury, aż do fortu San Carlos nad Río Negro.

Jedenastego kwietnia pod wieczór chmury pokryły niebo, wiatr uderzał, to znów chwilami cichł zupełnie, a wszystko świadczyło, że nadciąga burza. Niebawem lunął deszcz, który nas przemoczył mimo liściowego dachu, plosząc jeno na pewien czas nieznośne komary. Dotarliśmy do katarakty Carivenu, a prąd wody wzmógł się tak, że ledwo zdolaliśmy wylądować, gdyż ciągle porywał pirogę ze sobą. W końcu skoczyło w wodę dwu *Salivasów*, wyśmienitych pływaków, i wzięwszy statek na linę, przytroczyli go do nagiej skały, na której przenocowaliśmy. Burza trwała długo w noc i ciągle baliśmy się, że fale oderwą pirogę od lądu.

Dwunastego kwietnia ruszyliśmy dalej, o czwartej rano, a misjonarz wyraził obawę, że trudno nam będzie przebyć progi skalne przy ujściu rzeki Mety. Indianie wiosłowali przez dwanaście godzin bez przerwy, nic nie jedząc prócz manioku i bananów. Jest to rzecz nader trudna przewyciężyć prąd wody pod kataraktami. Indianie znad Orinoko i Amazonki czynią to jednak, podróżując przez dwa miesiące wodą. Zdumiewa siła fizyczna i wstrzemięźliwość tych ludzi. Mąka i ciała zawierające cukier, czasem ryby i tłuszcz żółwich jaj zastępują im pożywienie, jakie dają ptaki i ciepłokrwiste zwierzęta.

Łożysko rzeki na przestrzeni tysiąca dwustu metrów było zasypane złamami granitu. Miejsce to posiada nazwę *Raudal de Cariven*<sup>46</sup>. Przemykaliśmy kanałami pięciu nieraz zaledwo stóp szerokości, a czasem wpadała piroga pomiędzy dwa bloki, utykając pośród nich. Unikaliśmy miejsc, któredy woda pędziła z hukiem. Ale nie zachodzi tu niebezpieczeństwo prawdziwe, o ile ma się dobrego, indyjskiego<sup>47</sup> sternika. Gdzie nie można było przełamać prądu, wskakiwali w wodę wioslarze, przywiązywali linę do skały i przeciągali łódź. Działo się to bardzo powoli i nieraz wychodziliśmy na więżące nas skały. Posiadały wszelkie kształty i barwy, były przeważnie zaokrąglone, czarne, lśniące ołowiano i bez wszelkiej wegetacji. Wprawia w zdumienie, gdy się widzi, jak nagle znika gdzieś woda

<sup>44</sup>*Meta, Río Meta* — rzeka o długości 1100 km na terenie dzisiejszej Kolumbii, częściowo na granicy z Wenezuelą, lewy dopływ Orinoko. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*Casiquiare* — rzeka w Ameryce Południowej o długości 326 km, należąca do dorzecza Amazonki, dopływ Río Negro, mająca połączenie z Orinoko poprzez bifurkację (odnogo). [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*Raudal de Cariven*, dziś *Raudal de Caribén* — progi na rzece Orinoko w Wenezueli, w pobliżu miasta Puerto Páez, poniżej ujścia rzeki Meta. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*indyjski* (tu daw.) — indiański. [przypis edytorski]

jednej z największych rzek świata. Nieraz z dala, od strony brzegu widzieliśmy ogromne bloki granitu oparte o siebie i zamykające koryto.

Od ujścia Mety mniej znacznie w Orinoku raf i skał, tak że na przestrzeni kilometra płynęliśmy wolnym, szerokim korytem. Indianie wiosłowali, nie pchając pirogi i nie rozdierając nam uszu dzikimi okrzykami. Noc już zapadła, kiedyśmy dotarli do miejscowości, zwanej *Raudal de Tabaje*<sup>48</sup>, Indianie nie mieli odwagi płynąć dalej ku katarakcie, przeto zanocowaliśmy w miejscu nader niemiłym, na płycie kamiennej, nachylonej pod silnym kątem, mieszczącej w szczelinach roje nietoperzy. Przez całą noc ryczał w pobliżu jaguar, a pies nasz odpowiadał szczekaniem. Daremnie wyczekiwałem gwiazd na niebie straszliwie czarnym. Gdzieś w dali huczał grzmot, a dudnienie wody pod naszymi nogami naśladowało go.

Trzynastego kwietnia przebyliśmy wczesnym rankiem progi skalne i wysiedli na łąd. Pater Zea chciał odprawić nabożeństwo w nowej, pobliskiej misji San Borja, założonej przed dwoma laty. Zastaliśmy tam sześć chat, zamieszkałych przez nowonawróconych *Guahibów*<sup>49</sup>. Nie różnili się oni niczym od dzikich Indian, tylko w czarnych, niewielkich oczach tliło ożywienie większe, niż u mieszkańców innych misji. Nie chcieli nawet skosztować wódki. Kilku z nich miało brody, co ich napawało widać dumą, gdy brali nas za podbródki, dając do zrozumienia, że są całkiem do nas podobni.

Guahibowie nawykają bardzo trudno do życia osiadłego. Wolą żyć zgniłymi rybami, stonogami i robactwem, niż uprawiać kawałek ziemi. Dlatego mówią o nich pobratymcy z innych szczepów, że Guahibo zjada wszystko, co znajdzie na ziemi i pod ziemią.

W miarę posuwania się Orinokiem, ku południowi gorąco nie tylko nie wzrasta, ale łagodnieje. Ciepłota powietrza wynosiła w dzień 26 do 27 stopni Celsjusza, w nocy nawet tylko 24. Mimo to jednak plaga moskitów przybrała rozmiary wprost straszliwe. Nigdzie nie cierpieliśmy tak bardzo, jak w San Borja. Ledwo się wyrzekło słowo, czy odsłoniło twarz, pełno było owadów w ustach i w nosie. Skóra piekła nas tak, żeśmy sądzili, iż termometr wskazuje co najmniej 36 stopni i byli zdumieni, że tak nie jest. Noc spędziliśmy nad brzegiem Guaripo, ale kąpać się nie miał nikt odwagi, z obawy przed rybami karaibami<sup>50</sup> oraz krokodylami, które dochodziły tu do dwudziestu czterech stóp długości.

Czternastego kwietnia wyгнаła nas w drogę plaga *zancudos*<sup>51</sup> już o piątej rano. Nad wodą mniej było owadów niż pod lasem. W miarę posuwania się pod prąd wody rozwierała się przed nami coraz to bardziej urocza panorama wybrzeży.

W poprzek biegu Orinoka biegnie od południa ku północy pasmo granitowych gór. Dwa razy zatem owa rzeka żłobi sobie koryto w skałach, które tworzą progi, wały i zapory. Obraz to niesłychanie piękny. Wydaje się, że woda uniesiona została w górę, złudzenie to wywołuje piana tryskająca wszędzie, mgła wodna przelśniona słońcem oraz ogromne wodospady, których nie sposób objąć spojrzeniem.

Przedziwne to zjawisko natury zwróciło już przed wiekami uwagę mieszkańców Nowego Świata. Gdy Diego de Ordaz<sup>52</sup>, Alfonso de Herera<sup>53</sup> oraz nieustraszony Raleigh<sup>54</sup> (angielski wojownik 1552–1618) dotarli do ujścia Orinoka, Indianie podali im wieść o wielkich kataraktach. Ale w opowiadaniach tych pomieszano je z wodospadami, położonymi dalej na wschód. W gorących krajach bujność roślinności tamuje komunikowanie się

<sup>48</sup>*Raudal de Tabaje, Raudal Tabaje* — progi na rzece Orinoko, dziś na granicy kolumbijsko-wenezuelskiej, w pobliżu miasta Puerto Carreño, powyżej ujścia rzeki Meta. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*Guahibe* a. *Sikuaní* — lud zamieszkały w południowej Wenezueli i wschodniej części Kolumbii, w 1998 r. liczący ok. 24 tys. osób. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>ryby karaiby (niem. *Caraiเบนfischen*) — piranie; hiszp. *caribe* oznacza wiele gatunków ryb z podrodziny piraniowatych (*Serrasalminae*), tu najprawdopodobniej mowa o *Pygocentrus cariba*, hiszp. *piraña del Orinoco*. Opisy krwiożerczości tych ryb uważa się dziś za przesadzone. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*zancudo* (hiszp.) — komar, moskit. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*Diego de Ordaz* (1480–1532) — hiszpański żołnierz i odkrywca, uczestnik wypraw Diega Velázqueza (Kolumbia, Panama) i Hernána Cortésa (podbój Meksyku), prowadził następnie poszukiwania El Dorado na terenie dzisiejszej Wenezueli i odkrył rzekę Orinoko. Jego imię nosi jedno z większych miast Wenezueli, Puerto Ordaz. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*Alfonso de Herera* (w innych źródłach: *Alonso de Herrera*) — konkwistador działający w XVI w. m.in. na terenie dzisiejszej Kolumbii. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*Walter Raleigh* (ok. 1554–1618) — ang. odkrywca, który poszukiwał El Dorado na terenie dzisiejszej Gujany i Wenezueli. [przypis edytorski]

ludów pomiędzy sobą, mimo to jednak wieści dotyczące wielkich rzek dochodzą daleko. Orinoko, Amazonka oraz Urugwaj pokrywają siecią dopływów i rozlewisk lesisty kraj, zamieszkały przez ludność ludożerczą jeszcze na połę. Przed dwustu zaledwo laty rozpowszechniać się tu zaczęła religia chrześcijańska, ale na długo przed wprowadzeniem uprawy roli krążyły wśród licznych, zwalczających się wzajem plemion pasterskich, najczęściej przy sposobności handlu zamiennego, wieści o zdumiewających zjawiskach natury, wodospadach, wulkanach i górach pokrytych śniegiem, nietopniejącym nawet w lecie. W odległości trzystu mil od wybrzeża, w samym sercu Ameryki południowej, pośród ludów, których wędrówki nie przekraczają trzech dni podróży, snują się wieści o oceanie i wyrażenia oraz znaczenie ogromnej masy wody słonej, nieogarniętej spojrzeniem. Rozpowszechnianiu się tych wieści pomagają różne wydarzenia, jak wojny szczepowe, zabieranie niewolników, ucieczka ich, powrót do swoich i powtarzanie tego, co który słyszał w obcych, dalekich okolicach. Czasem natrafi ktoś w wielkiej odległości od morza na kościec kopalnego potworu<sup>55</sup> morskiego i daje to nowy pochop<sup>56</sup> do opowiadań. Ze zdziwieniem słyszy wędrowiec różne takie szczegóły z ust tubylców, którzy nigdy nie byli nad morzem. Na niskim stopniu kultury następuje wymiana myśli wcześniej, niż wymiana produktów.

Piętnastego kwietnia opuściliśmy wyspę Panumana przed wschodem słońca. Niebo było zachmurzone i przelatywały błyskawice, ale grzmotów nie było, gdyż burza szalała wysoko w powietrzu, nad ziemią nie było najlżejszego powiewu, a upał panował nieznośny, gdyż żar rozpalonej ziemi odbijał się od chmur i wracał na dół.

Jak zawsze podchodziły do nas jaguary, rycząc tuż w pobliżu. W okolicy katarakt jest ich tyle, że zajmują chaty Indian, robiąc z nich sobie legowisko, jak mi to opowiadał jeden naoczny świadek. Raz zajęły mu jaguary chatę, w pobliżu *conucos*<sup>57</sup> wyspy Panumana i po kilku dopiero miesiącach i stoczonej walce zdołał ją odzyskać. Zwierzęta te chętnie szukają schronienia w opuszczonych budynkach, a podróżny, jak sądzę, czyni mądrzej nocując pod gołym niebem, przy ognisku, niż w takiej bezpańskiej chacie.

Odjeżdżając z wyspy, spostrzeżliśmy w dali ogniska dzikich Guahibów, a misjonarz poradził dać parę strzałów, by ich odstraszyć i przekonać, że się możemy bronić. Ale dzicy nie mieli widocznie łodzi, a pewnie też ochoty ścigać nas po rzece. Gorąco zmusiło nas do odpoczynku w miejscu zacienionym i zabawialiśmy się łowieniem ryb, których było tyle, żeśmy ich nie mogli zabrać ze sobą. Późną nocą dotarliśmy tuż pod wielką kataraktą do zatoki zwanej portem niższym, *puerto de abaxo*, i udaliśmy się nie bez wysiłku, po ciemku, wąską ścieżyną do misji Atures, położonej o milę od brzegu. Musieliśmy przejść równinę pokrytą wielkimi złomami granitu.

Zaczęto wyładowywać pirogę, a tymczasem my z brzegu patrzyliśmy na spienione wody w zacieśnionym korycie.

Aż do miejsca przyprływu Anaveni, to znaczy na przestrzeni 260 mil, żeglować można swobodnie po dolnym Orinoku. Jedyną przeszkodę stanowią pnie drzew wyrwanych w czasie przyboru i niesione na fali. Żle by wyszła na tym piroga, gdyby nocą wpadła na taką kratę z drzewa i roślin wodnych, która przypomina pływające łąki Missisipi i pływające ogrody jezior meksykańskich. Korzystają z tego Indianie chcący napaść jakiś inny szczep. Związują kilkanaście kanoe, nakrywają trawą i gałęzmi, tworząc taką pływającą łąkę, którą woda niesie. Również i Karaibowie odznaczeni się podobno dawniej wielką biegłością w takim podstępnie, dotąd stosowanym zresztą przez przemysłników z Angostury, którzy oszukują w ten sposób straż celną. Powyż<sup>58</sup> Anaveni napotyka się katarakty, czyli *raudale* Atures i Maypures. Obie te zapory biegnące od brzegu do brzegu wyglądają na ogół jednakowo. Są to liczne wyspy, tamy skalne i spiętrzone bloki, które porastają palmy i krzewy. Pośród nich szumią i huczą spienione fale ogromnej rzeki. Powyż Maypures rozwiera się znowu wolna przestrzeń długości blisko 170 mil, aż niemal do samych źródeł Orinoka, to znaczy do *raudalu* Guahibów.

Tutaj jednak, gdzie dotarliśmy, w nielicznych jeno miejscach można było dojść aż do samego koryta rzeki oraz kąpać się w wodzie zatok wirującej powoli. W Alpach, Pire-

<sup>55</sup>potworu — dziś popr. forma D. lp: potwora. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>pochop (daw.) — bodziec, impuls; powód. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>conuco (hiszp.) — niewielka działka ziemi uprawnej. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>powyż (daw.) — powyżej. [przypis edytorski]

nejach czy nawet Kordylierach, słynnych z rozszarpania terenu i śladów zniszczenia, nie natrafi jednak podróżny na nic podobnego. Trudno dać w słowach przybliżony choćby obraz tego chaosu. Na przestrzeni przeszło pięciu mil przecinają koryto w poprzek progi, tamy i zapory skalne. Przestrzeń pomiędzy nimi wypełniają wyspy, pagórzyste, pełne wyżyn i wklęsłości, mające po kilkaset metrów długości. Inne są to małe, płaskie rafy. Wyspy te dzielą rzekę na mnóstwo wąskich koryt o rwącym prądzie, wszystkie zaś porasta gęstwa palm. Przedziwnie wyglądają te palmowe gaje pośrodku wody. Woda rzuca się w czeluście i grotty skalne, tak że nieraz słyszeliśmy szum wody jednocześnie nad głową i pod stopami. Orinoko przybiera tu postać niezliczonych wodospadów drążących sobie drogę przez skały. W zdumienie wprawia ich ilość, każdy zaś niesie niewiele wody. Znikają pod ziemią, tryskają w górę, huczą i rzucają pianę. Mniejsze zapory przebywają Indianie w ten sposób, że płyną naprzód i wciągają łódź liną na grzbiet progu. Jest to praca mozolna i często łódź napelnia się przy tym wodą. Nieraz ulega kanoe strzaskaniu o skały, a wówczas skrwawieni żeglarze z trudem zmykają wplaw na najbliższą wyspę. W miejscach, gdzie progi są wysokie i całkiem zamykają koryto, transportuje się łodzie brzegiem, tocząc je na prymitywnych walcach z cienkich pni drzew aż tam, gdzie rzeka znowu zaczyna być splawna.

Dnia 16 kwietnia dowiedzieliśmy się, że pirogę naszą przeprowadzono przez progi i że czeka na nas w *puerto de arriba*, czyli porcie wyższym.

Jaguary w okolicach Atures są tak zuchwale, że porywają po wsiach świnie biednym Indianom. Pewien misjonarz opowiedział pewne zdarzenie, świadczące o łagodności tych z pozoru dzikich zwierząt. Kilka miesięcy przed naszym przybyciem pewien jaguar, którego uważano za młodego, choć był wielki, bawił się z dzieckiem i zadrasnął je przypadkiem. Owo wyrażenie „bawił się” wygląda dziwnie, jednak miałem sam dowody czegoś podobnego. Dwoje dzieci indyjskich<sup>59</sup>, chłopiec i dziewczynka, siedziało w trawie. Około drugiej po południu przybiegł z lasu jaguar i zaczął wokoło skakać jak kot. Malcy nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa, a jaguar zbliżył się i zaczął klepać łapą chłopca po głowie. Zrazu czynił to lekko, potem jednak coraz mocniej, i krew pociekła od zadrasnięcia pazurem. Widząc to, chwyciła dziewczynka gałąź i zaczęła bić jaguara, który uciekł niezwłocznie do lasu. Na krzyk dzieci przybiegli starsi i spostrzegli umykającego jaguara. Sam widziałem oboje dzieci. Chłopak był bystry i wydawał się inteligentny. Pazur jaguara zdrapał mu tylko trochę skóry na czole i głowie. Skądże się wzięła owa sympatia dla dzieci u zwierza, którego dość łatwo zresztą oswoić, który atoli na wolności jest krwiożerczy i okrutny? Można by wprawdzie przypuszczać, że uważał malców za swą zdobycz i bawił się nimi, jak kot ptakiem z przyciętymi skrzydłami, dla czegoż jednak uciekł przed bijącą go dziewczynką? Jeśli zaś nie zbliżył się do dzieci pod przymusem głodu, to po cóż w ogóle przybiegł? Nienawiść i sympatia zwierząt kryje dużo tajemnic. Zdarzało się, że lew rozszarpywał dwa czy trzy psy wpuszczone do klatki, zaś od razu pieścić zaczął czwartego, który, śmielszy od tamtych, chwycił go za grzywę. Wydaje się jakby słabe stworzenie pociągało silne tym więcej, im większe mu okazuje zaufanie.

## PLAGA KOMARÓW

Po kilku dniach pobytu w Atures, z wielką przyjemnością opuściliśmy tę miejscowość, gdzie termometr wskazuje za dnia 29, a w nocy 26 stopni Celsjusza. Sam upał nie dokuczał nam tyle, ile niecznośne podrażnienie skóry, które sprawiało, żeśmy nie dowierzali instrumentowi, sądząc, iż znaczy zbyt niską ciepłotę. Za dnia kąsały nas moskity i małeńkie zjadliwe *jeje*<sup>60</sup>, nocą zaś *zankudy*, wielkie jadowite komary, których się boją nawet tubylcy. Ręce nam puchły coraz to bardziej, a ustąpiło to dopiero, gdyśmy dotarli do brzegów Temi. Różnymi sposobami bronią się tu ludzie przeciw tym małym owadom. Poczciwy misjonarz Bernardo Zea, który przez długie lata cierpiał z powodu komarów, zbudował sobie obok kościoła z pni palmowych rusztowanie, a na jego szczycie chatkę, gdzie można było swobodniej oddychać i gdzie też suszyłem rośliny wieczorami i pisywałem. Misjonarz uczynił spostrzeżenie, że komary najchętniej przebywają w dolnych

<sup>59</sup>indyjski (tu daw.) — indiański. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*jeje* — hiszp.: *jején*, nazwa nadawana licznym gatunkom drobnych owadów, często pijących krew ssaków. [przypis edytorski]

warstwach powietrza, do wysokości 15 stóp nad ziemią. W Maypures nocują Indianie po wyspach, na środku rzeki, gdzie komary nie przylatują skutkiem pary przesycającej powietrze. Stwierdziłem też sam, że więcej ich przy brzegach niż pośrodku koryta, toteż znacznie mniej cierpi podróżny płynący z prądem, niż pod wodę<sup>61</sup>.

Trudno przyjdzie uwierzyć temu, kto nie żeglował po wielkich rzekach Ameryki tropikalnej, jak straszną plagą są te małe owadki, które w najżyźniejszych nieraz okolicach uniemożliwiają pobyt ludziom. Mimo nawyku do cierpienia i mimo zajęcia się obserwowanym przedmiotem, nie sposób sobie dać rady. Moskity, *zankudo*, *jeje* oraz *tempranero*<sup>62</sup> pokrywają ciągle twarz i ręce, przebijają żądłami-ssawkami ubranie, włożą do ust, oczu i nosa, tak że co chwila wybucha się kaszlem, spluwa nieustannie i kicha raz po raz. Rozmowy o *los moscos*<sup>63</sup> to stała rozrywka w misjach rozrzuconych po niezmiernych lasach pobrzeży Orinoka. Ile razy spotka się dwu ludzi, pyta jeden drugiego:

— Jakże tam było w nocy z zankudami? Czy dużo było moskitów?

Przypomina to starodawną formułkę towarzyską Chińczyków, którzy pytali się wzajem rano:

— *Vou to hou?*

To znaczy: Czy cię bardzo niepokoiły tej nocy węże...

W okolicach Tuamini przekonałem się, że obok pytania indyjskiego<sup>64</sup>, pytanie chińskie również byłoby na miejscu.

Dolna warstwa powietrza aż do dwudziestu stóp przesycona jest wprost jadowitymi owadami. Patrząc pod słońce z jakiejś grotty przy katarakcie, widzi się chmurę komarów to gęstniejącą, to znów rzadszą na chwilę. Nie ma chyba na świecie kraju, gdzie by człowiek znosił straszniejsze katusze, jak tu w porze deszczowej.

— Jakże dobrze musi być mieszkańcom księżycu! — powiedział do patra<sup>65</sup> Gumilli pewien Indianin ze szczepu Saliva. — Jest tak piękny, jasny i pewnie nie dolatują tam moskity.

Naiwne te słowa cechują zapatrywanie dzikich Amerykanów na naszego satelitę. Jest on w ich oczach osiedlem niebian i przybytkiem wszelkiej obfitości. Gdy Eskimos, dla którego skarbem jest deska lub pień drzewa wyrzucone na jałowy brzeg, widzi na księżycu pokryte lasem równie, dostrzega na nim Indianin znad Orinoka puste sawanny, wolne od moskitów.

Dalej ku południowi zaczyna się sieć brunatnożółtych wód, zwanych czarnymi, *aguas negras*. Nad brzegami Atabapo, Temi, Tuamini i Río Negro zaznaliśmy spokoju, niemal szczęścia nieoczekiwanego. Rzeki te płyną, jak Orinoko, przez gęste lasy, ale nie ma tu wcale komarów ani krokodyli. Być może nie sprzyja niższa temperatura wody wylęganiu się larw komarzyczych albo też jej skład chemiczny.

Dziwne to i znane misjonarzem zjawisko, że rozmaite odmiany komarów latają z osobna, nie mieszając się, także w różnych godzinach dnia kłują inne owady. Zazwyczaj ma się kwadrans spokoju przed „wyruszeniem w pole”, jak powiadają misjonarze, nowego gatunku komarów. Po odwołaniu jednej armii nie zaraz druga idzie w bój. Od pół do szóstej rano do piątej wieczór pełno w powietrzu moskitów. Na godzinę przed zachodem miejsce moskitów zajmują małe komary zwane *tempraneros* (które wcześniej wstają... *temprano*), gdyż widać je również o świcie. Latają one zaledwo<sup>66</sup> półtorej godziny i znikają około siódmej, jak się tu powiada... po oddzwonieniu na Anioł Pański. Po kilkunastu minutach zaczynają kłuć zankudy, komary o długich nogach. Zankudo ma w ryjku kłującą ssawkę, która wywołuje dotkliwy ból, a bąble trwają przez kilka tygodni. Brzęczą podobnie do europejskich, tylko donośniej. Indianie rozróżniają podobno po „śpiewie” zankudy od *tempraneros*. Te ostatnie są owadami wieczorowymi, podczas kiedy zankudy to owady nocne, znikające o świcie.

Na innym miejscu tego dzieła wspominałem o fakcie, że biali, urodzeni w ciepłych

Krew, Pozycja społeczna,  
Kolonializm

<sup>61</sup>pod wodę — tu: pod prąd. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*tempranero* (hiszp.) — bardzo wcześnie; tu: owad dający się we znaki wcześnie rano. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*los moscos*, lp. *mosca* (hiszp.) — mucha; tu: owad. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>indyjski (tu daw.) — indiański. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*pater* (łac.) — ojciec; wyraz dziś raczej nieużywany w polszczyźnie w przypadkach zależnych. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>zaledwo — dziś: zaledwie. [przypis edytorski]

krajach, mogą chodzić bezkarnie boso po tej samej chacie, gdzie świeżo przybyłego Europejczyka oblażą pchły piaskowe, zwane *nigua*. Ledwo widoczne te owady zakopują się pod paznokcie i tam składają jaja, pęczniąc do wielkości grochu. A więc *nigua* różni to, czego nie zdołała dotąd uczynić najskrupulatniejsza analiza chemiczna, to znaczątkę i krew Europejczyka i białego Kreola. Inaczej się rzecz ma z bąkami. Wbrew krążącym wieściom, owady te napastują zarówno czerwonoskórych, jak i białych, tylko skutki ukłucia są różne. Jadowita ciecz nie wywołuje nabrzmienia u Indianina, podczas gdy Europejczyk puchnie i cierpi przez kilka dni dotkliwie.

Zaobserwowałem nieraz, że czerwonoskórzy odczuwają ból równie jak biali, ale w mniejszym stopniu. W dzień, podczas wiosłowania biją się Indianie ustawicznie dłońmi po ciele, by spłoszyć owady, a to samo czynią podczas snu, w nocy, nie bacząc, że trafiają często w leżących obok towarzyszy. Przypomina to perską przypowieść o niedźwiedziu zabijającym muchę na czole uspiętego pana swego. W Maypures widziałem, jak młodzi Indianie, siedząc przy ogniu, drapali się wzajem po plecach kawałkami suchej kory. Kobiety indyjskie<sup>67</sup> wydziobywały cienką kostką z każdej ranki po ukłuciu kroplę zakrzepłej krwi szpecącą skórę, a czyniły to z cierpliwością dla nas niepojętą. Jeden z najdzikszych szczepów nad Orinokiem, Otomakowie<sup>68</sup>, używają siatki przeciw komarom, którą tkają z włókna palmowego. Czerwonoskórzy z okolic Caracas zagrzebują się na sen w piasek. W niektórych wsiach nad rzeką Magdaleny namawiali nas Indianie, byśmy się kładli na tzw. *plaza grande*, przy kościele na skórach wołów, które tam spędzają zewsząd w wielkiej liczbie. W pobliżu trzody znajduje człowiek trochę spokoju od komarów. Indianie nad górnym Orinokiem i pod Casiquiare<sup>69</sup>, widząc, że Bonpland nie może z powodu tej plagi suszyć roślin, zapraszali go do swych *hornitos*, czyli „pieców”. Tak zwą oni małe schrony bez drzwi i okien, do których wchodzi się przez mały otwór, pełzając na brzuchu. Potem rozpala się ognisko z wilgotnych gałęzi, a wypędziwszy dymem komary, zatyka się wejście szczelnie. Nie ma tam wprawdzie moskitów, ale w norze tej oświetlonej dymiącą pochodnią z żywicy topolowej panuje straszne gorąco i zaduch. Bonpland zasuszył jednak w takich hornitach indyjskich setki roślin.

Śmiech zbiera, gdy się słyszy spory misjonarzy na temat wielkości i krwiożerczości moskitów różnych części rzeki. Odcięci od świata zabawiają się oni tym.

Żał mi cię, bracie — powiedział na odjeźdźnym misjonarz z okolicy katarakt do kolegi z Casiquiare — żał mi, że sam zostaniesz jak i ja w tym kraju tygrysów<sup>70</sup> i małp. Ryb mamy znacznie mniej od was i większe tu upały, a jednak gdy idzie o moje moskity (*mis moscas*) to mogę się pochwalić, że mój jeden pokonałby twoje trzy z łatwością.

Sprawa komarów drobna to rzecz dla Europejczyka, świadczy jednak o tym, że małe owady, posiadające odrobinę jadu w ssawce, mogą uniemożliwić życie człowiekowi na rozległych i żyznych przestrzeniach. Ogromną przeszkodą dla kultury są również w wielu okolicach podzwrotnikowych małe termity, czyli *comeje*<sup>71</sup>. Pożerają przeraźliwie wszystko, papier, tektury, pergamin, niweczając całe archiwa i biblioteki. W licznych prowincjach hiszpańskiej Ameryki nie ma pisanego dokumentu starszego nad sto lat. Cóż się ma tedy stać z kulturą danego kraju i ludu, jeśli przeszłość nie będzie złączona z chwilą bieżącą i trzeba ponawiać walki i klęski, okupując tym na nowo doświadczenie?

W miarę zbliżania się do wyżyny Andów maleje ta plaga. Oddycha tam człowiek swobodnie świeżym powietrzem, a owady nie trapią go już dniem i nocą. Tam też termity nie zagrażają archiwom. Czteryście metrów nad morzem nie ma już komarów, a termit dosięga sześciuset. Ale Meksyk, Santa Fe de Bogota i Quito wolne są od owadów. Stamtąd promieniować będzie kiedyś kultura na przestrzenie nizinne i lesiste, zamieszkałe dziś przez szczepy, którym właśnie obfitość odbiera energię życiową.

<sup>67</sup> *indyjski* (tu daw.) — indiański. [przypis edytorski]

<sup>68</sup> *Otomakowie* — wymarły dziś lud, zamieszkujący jeszcze w XIX w. stan Apure w Wenezueli. [przypis edytorski]

<sup>69</sup> *Casiquiare* — rzeka w Ameryce Południowej o długości 326 km, należąca do dorzecza Amazonki, dopływ Río Negro, mająca połączenie z Orinoko poprzez bifurkację (odnogę). [przypis edytorski]

<sup>70</sup> *tygrys* — tu: jaguar (dziś nazwy *tygrys* używa się tylko w odniesieniu do gatunku *Panthera tigris* żyjącego w Azji). [przypis edytorski]

<sup>71</sup> *comeje* (hiszp. *comején*) — termity, łac. *Isoptera*. [przypis edytorski]



## WODOSPAD MAYPURES

Dnia 17 kwietnia po trzygodzinnym marszu dotarliśmy przed południem do naszej łodzi, w której pater Zea umieścił nasze instrumenty i mały zapas żywności, składający się z paru wiązek bananów, manioku i kurcząt.

W dalszej drodze nie napotykalśmy na przeszkody. Pod wyspą Tomo spędziliśmy noc pod gołym niebem. Było pogodnie, ale gruba warstwa, rzec można, komarów udaremniła moje prace miernicze i obserwację gwiazd.

O trzeciej rano dnia następnego ruszyliśmy dalej, by przed nocą dotrzeć do słynnej katarakty, zwanej *raudal de Guahibos*. Stanęliśmy tam już koło piątej, ale nie było zgoła łatwym zadaniem przezwyciężyć prąd wody, spadającej z ławicy gnejsowej<sup>72</sup>, kilka stóp wysokiej. Jeden z naszych Indian podpłynął do skały, przywiązał do niej linę i przy jej pomocy podciągnąwszy łódź, wypróżniliśmy ją, by uczynić lżejszą. Stojąc na skale w samym środku zapory naturalnej, ujrzeliśmy ze zdziwieniem spory kawał suchej ziemi i tam rozłożyliśmy się obozem, czekając na transport łodzi.

W skale widniały krągłe wyźłobienia na dnie zawierające żwir kwarcowy. Musiały powstać przez tarcie toczących się kamieni. Ów obóz pośród katarakty dziwnie wyglądał. Nagle dostał towarzyszący nam misjonarz ataku febry. Chcąc ugasić trapiące go pragnienie, postanowiliśmy przyrządzić chłodny napój, z cukru, cytryn i grenadilli (to znaczy z owocu passiflory), które to zapasy nabyliśmy w Atures. W braku większego naczynia, by mieszać poszczególne składniki, waliśmy za pomocą skorupy z dyni trochę wody rzecznej w jeden z otworów skalnych i w tej naturalnej czaszy został przyrządzony napój, którym się wszyscy rozkoszowali. Tak to potrzeba uczy wynalazków.

Ugasiwszy pragnienie, nabraliśmy ochoty do kąpeli. Zbadawszy szczegółowo ławicę, dostrzeżliśmy kilka małych zatok ze spokojną i czystą wodą i niebawem użyliśmy przepysznej kąpeli, nie bacząc na huk wody i krzyki naszych Indian. Podaję ten szczegół, gdyż charakteryzuje nasz sposób podróżowania i uczy, że w każdych warunkach można sobie poradzić.

Po godzinie została nasza piroga przeciągnięta, wyladowana i co prędzej opuściliśmy *raudal*. Podróż dalsza nie całkiem była bezpieczna. Musieliśmy przeciąć w skos rzekę półtora kilometra szeroką i rwącą w tym miejscu poza zaporą. W dodatku rozszalała się burza, na szczęście bez wielkiego wiatru, tak żeśmy tylko przemokli całkiem. Burze tropikalne bywają krótkie, lecz gwałtowne. I tym razem dwa pioruny uderzyły w wodę tuż przy nas. Wiosłowano już dość długo, a sternik wyraził zapatrywanie, że miast oddalać się od *raudalu*, jesteśmy coraz to bliżej. Indianie zafrasowali się, zaczęli mówić z cicha, jak zawsze w wątpliwej sytuacji, ale wytężyli wszystkie siły, tak że z nastaniem nocy dotarliśmy bez wypadku do portu w Maypures.

Noc była bardzo ciemna. Przemokli zupełnie mieliśmy iść jeszcze dwie godziny. Wraz z ustaniem deszczu, rzuciły się na nas ze zdwojoną wściekłością zjadliwe zankudy, jak to czynią zawsze po burzy. Towarzysze nasi rozważali, czy nie lepiej przenocować w porcie pod gołym niebem. Ale pater Zea, który był misjonarzem w obu *raudalach*, miał tu nieskończony jeszcze, dwupiętrowy dom i chciał tam koniecznie dotrzeć. Zaręczał naiwnie, że będzie nam tam równie wygodnie, jak na polu, gdyż nie posiada stołu, ni ławki, natomiast w misji komary nie będą chyba tak bezczelne, jak nad rzeką. Usłuchaliśmy tej rady i zapalono pochodnie z żywicy kopalowej<sup>73</sup>, to znaczy rury z korzeni roślin wypełnione żywicą. Droga wiodła przez gładkie, śliskie ławice, potem zaś przez las palmowy. Dwa razy trzeba było przechodzić po pniach przez potok. Pochodnie pogasły. Były one dziwnie zrobione, gdyż drewniany knot otaczał materiał palny, a więcej dawały dymu niż światła i łatwo gasły. Towarzysz nasz don Nicolas Sotto stracił równowagę na krągłym pniu i spadł w bagnisko. Zrazu przestraszyło nas to, gdyż nie wiedzieliśmy, z jak wysoko zleciał i gdzie wpadł, ale okazało się, że wyszedł cało. Indianin sternik mówiący dość dobrze po hiszpańsku opowiadał na drodze, że możemy natrafić na wydry, węże morskie i jaguary.

<sup>72</sup>ławica gnejsowa — niem. *Gneißbank*; *Gneis*: gnejs, skała o budowie łupkowej; *Bank*: ławica, mielizna. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>kopalowy — odnoszący się do kopalni, substancji podobnej do bursztynu, choć nie tak dawnej, powstałej z żywicy drzew tropikalnych. [przypis edytorski]

Jest to urzędowa nieledwie rozmowa Indianina, który chce nastraszyć Europejczyka, by się stać potrzebniejszym i pozyskać zaufanie.

W nocy przybyliśmy do misji San Jose de Maypures i pustka tej miejscowości tym silniej nas uderzyła. Indianie spali, krzyczały ptaki nocne i huczała woda katarakty. Wodospad dudniący monotonnie w nocnej ciszy przygnębia bardziej jeszcze niż za dnia. Trzy dni spędziliśmy w małej wiosce, bardziej jeszcze malowniczo położonej niż Atures.

Katarakta w Maypures składa się podobnie jak inne z archipelagu wysepek, na przestrzeni sześciu kilometrów zatykających koryto Orinoka, oraz z progów skalnych pomiędzy tymi wysepkami. Chcąc ogarnąć całokształt obrazu, trzeba stanąć na wzgórzu Manimi, ścianie granitowej, sterczącej po północnej stronie kościoła misyjnego, wprost z nagiej sawanny. Często bywaliśmy na tym wzgórzu, podziwiając widok zaiste wielkiej piękności. Przed oczyma leżała przestrzeń milowa pokryta pianą, z której sterczały czarne masy skał. Niektóre skupione, krągłe, podobne były bazaltowym górcom, inne przypominały wieże, zamki i ruiny. Ponuro kreśliły się na srebrzystej pianie wodnej. Każdą skałę czy grupę obrastały grupy drzew, wznosząc korony ponad opar mgły, wzwyż znad wody. Z każdą godziną dnia zmieniał się obraz tej wielkiej pienistej przestrzeni, palmy i skały rzucały na nią cienie, a promienie słońca padały snopami, tworząc barwne łuki tęczowe, które znikwały i jawiły się na nowo.

Widoku tego, jaki oglądałem ze wzgórza Manimi, nie zatarł mi czas ni pełne grozy krajobrazy Kordylierów, ni również urocze doliny Meksyku. Czytając opisy okolic podzwrotnikowych, gdzie przeważa płynąca woda i bujna roślinność, wspominam ten rozlóg piany i czuby palm z niego widne.

Pogoda nie sprzyjała obserwacjom astronomicznym, mimo to jednak dnia 20 kwietnia uzyskałem szereg pomiarów wysokości słońca, wedle których chronometr oznaczył położenie misji w Maypures na 70 stopni, 37 minut, 33 sekund długości geograficznej. Szerokość stwierdziłem podług obserwacji jednej z gwiazd, w stronie północnej, oznaczając ją na 5 stopni, 13 minut i 57 sekund. Najnowsze mapy są niedokładne o pół stopnia długości i ćwierć szerokości. Nie sposób nawet spisać, jak uciążliwe były te nocne obserwacje. Nigdzie chmura moskitów nie była chyba jeszcze tak gęsta. Wysokości paru stóp nad ziemią tworzyła swoistą warstwę. Mieszkańcy wsi nocują przeważnie na wyspach, pośród katarakty, gdzie mniej owadów, albo rozniecają ognisko i wieszają maty w dymie. Termometr wskazywał w nocy 27 do 30 stopni.

Dnia 21 kwietnia, po dwu i pół dniowym pobyciu w Maypures, przy katarakcie wsiadliśmy z powrotem w naszą pirogę. Nadwyrężyło ją dobrze transportowanie przez skały i przygody podróży, teraz zaś miała przed sobą drogę łądem po piasku i kamieniach z Río Tuamini do Río Negro, przez wąski przylądek, stamtąd przez Casiquiare znowu do Orinoko i przez obie katarakty. Zbadano dno i boki pirogi i uznano, że wytrzyma doskonale tę daleką drogę.

## NA CZARNYCH WODACH

Za kataraktami napotyka podróżny inny zgoła świat, jakby minąwszy granicę naturalną pomiędzy rodzajnym<sup>74</sup> terenem nadbrzeżnym a dziczą wnętrza nieznanego kraju.

Dwudziestego drugiego kwietnia, półtorej godziny przed świtaniem, wyruszyliśmy w drogę o poranku wilgotnym, ale pogodnym, przy zupełnym bezwietrzu, jak to bywa stale na południe od Atures i Maypures. Nad Río Negro, Casiquiare, u stóp Cerro Duida i w misji Santa Barbara nie słyszeliśmy nigdy szumu liści tak ponętnego w gorących krajach. Przyczyną tego zjawiska może być kręty bieg rzeki, słoniące ją góry, nieprzeniknione lasy i ciągły deszcz w tych okolicach.

Dotarwszy do Río Zama, wstąpiliśmy na system rzeczny, wielce ciekawy. Zama, Matoveni, Atabapo, Tuamini, Temi i Río Negro mają wodę czarną (*aquas negras*), to znaczy w wielkiej masie z oddali brunatną albo czerniawozieloną. Mimo to jest to woda najczystsza i najsmaczniejsza pod słońcem. Wspomniałem już, że unikają jej Moskity i krokodyły. W lekkim powiewie wiatru i słońcu wyglądają trawiaście jak jeziora szwajcarskie, zaś w cieniu jest Zama, Atabapo i Río Negro istotnie czarne jak osad kawy. Indianie dzielą też wszędzie wody na białe i czarne.

<sup>74</sup>rodzajny (daw.) — tu: niem. *cultivirten* (dziś popr. *kultivierten*), tj. uprawiany. [przypis edytorski]

Dnia 23 kwietnia opuściliśmy ujście Zamy o trzeciej rano. Oba brzegi porastał gęsty las, a góry po stronie wschodniej zdawały się uciekać przed nami. Przepłynęliśmy obok ujścia Río Mataveni, a potem koło wyspy dziwnych kształtów. Sterczy z wody jak prostokątna skrzynia granitowa i zwie się *el Castillito*.

Dwudziestego czwartego kwietnia wyruszyliśmy bardzo wczesnym rankiem zmuszeni do tego przez deszcz i zostawiając kilka książek, których nie było można po nocy znaleźć na skale Aricagua. Rzeka płynęła dokładnie z południa na północ, brzegi są niskie i lesiste. Ciemną nocą wpłynęliśmy w ujście Guaviary i po północy byliśmy w misji. Jak zawsze zamieszkaliśmy w klasztorze, to znaczy w domu misyjnym, gdzie nas przyjęto z wielkim zdziwieniem i nie mniejszą gościnnością.

W ciągu nocy opuściliśmy niemal niepostrzeżenie wody Orinoka i o wschodzie słońca ujrzeliśmy się w innym kraju u brzegu rzeki nieznannej nawet prawie z nazwy, która nas miała przez Pimichin<sup>75</sup> zanieść na wody Río Negro, do granicy Brazylii. W krainie tej, gdzie od czasu wytyczania granic nie powstał żaden przyrząd astronomiczny, oznaczyłem przy pomocy chronometru i obserwacji gwiazd położenie geograficzne miejscowości San Baltazar nad Atabapo, Javity, San Carlos nad Río Negro, skały Culimacari i misji Esmeralda. Mapa moja usunęła tedy wątpliwości odnośnie do położenia mnóstwa osad chrześcijańskich. Położenie jakiegoś punktu na ziemi odczytywać trzeba z nieba, tam gdzie jedyną drogę stanowią kręte rzeki, w gęstych lasach tkwią małe wioski oraz gdzie nie ma wcale gór ani wysokich przedmiotów widzialnych z dwu miejsc, właśnie w najbliższych okolicach gorących krajów czuje się potrzebę obserwacji astronomicznych i to nie tylko dla poprawienia map, ale pomiaru terenu.

Dwudziestego szóstego kwietnia, po przebyciu kilku zaledwo mil zanocowaliśmy na skale, w pobliżu indyjskich<sup>76</sup> plantacji Guapasoso. Brzegów nie widać podczas wysokiego stanu wody i rzeka łączy się z lasami, toteż lądować można jeno na skale albo płycie kamiennej sterzącej nad powierzchnią. Nie ma krokodyli we właściwym korycie Atabapo, powyż San Fernando, ani też krów wodnych, są natomiast delfiny słodkowodne. Daremnie by też szukać świni wodnej, wielkiego wyjca, zamura oraz bażanta z kapturem, zwanego guacharaca. Ogromne żmije wodne, z wyglądu przypominające boę<sup>77</sup>, żyją tu niestety w wielkich ilościach i zagrażają kąpiącym się Indianom. Pierwszych zaraz dni widywaliśmy obok naszej pirogi egzemplarze do czterestu stóp dochodzące. Jaguary wybrzeży Atabapo są duże i tłuste, ale podobno nie tak zuchwałe, jak nad Orinokiem.

Dnia 27 kwietnia mieliśmy noc pogodną, czarne chmury przelatywały czasem jeno w wielkiej wysokości. W niższych warstwach powietrza panowała cisza, a wiatr wschodni wiał dopiero w wysokości dwu tysięcy metrów. Przed świtem spadł deszcz. Nawykliśmy do lasów rojących się od zwierząt, jak na Orinoku, dziwiliśmy się, nie słysząc wycia małp. Wokoło łodzi igrały delfiny, czyli taminy.

Dnia 30 kwietnia, po przebyciu pięciu mil Atabapem<sup>78</sup>, miast dążyć do jego źródeł, gdzie nosi nazwę Atacari, zboczyliśmy w stronę ujścia Río Temi. Przed wpłynięciem w nie ujrzeliśmy u ujścia Guasacari na zachodnim brzegu blok granitowy, zwany: Indianką Guahiba, czyli skałą matki, *pedra de la madre*. Ojciec Zea nie umiał wyjaśnić tych nazw, ale w parę tygodni później dowiedziałem się wszystkiego od innego misjonarza. Notuję tu tę historię z bolesnym uczuciem niższości moralnej ludzi białych w porównaniu z cnotą dzikich Indian.

Pewien misjonarz z San Fernando, poprzednik zakonnika, któregośmy tam zastali, wyruszył ze swymi Indianami nad Guaviare na wyprawę rozbójniczą zabronioną przez religię jak i prawo hiszpańskie. W jednej z chat zaskoczyli matkę oraz troje dzieci ze szczepu Guahibów. Ojciec wyruszył na połów, toteż matka, nie myśląc o obronie, rzuciła się do ucieczki. Ścigali ją Indianie z misji zaprawieni do polowania na ludzi podobnie jak biali polują na Murzynów w Afryce. Niebawem została dopędzona w sawannie, związana i wraz z dziećmi przywleczona nad rzekę, gdzie siedział w łodzi zakonnik czekając wyniku pogoni. Gdyby się była matka broniła energiczniej, zostałaby zabita, gdyż wszystko jest

<sup>75</sup>*Pimichin* — niewielka rzeka dorzeczu Orinoko. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*indyjski* (tu daw.) — indiański. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>*boę* — dziś popr. forma nieodm.: boa. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*Atabapo, Río Atabapo* — lewy dopływ Orinoko w jej górnym biegu, rzeka ta wyznacza dziś granicę między Wenezuelą a Kolumbią; nazwa dziś raczej nieodm.: płynąć Atabapo. [przypis edytorski]

dozwolone na takiej wyprawie kościelnej (*conquista espiritual*), podczas której łapie się przede wszystkim dzieci, które potem wychowywane w misji stanowią tzw. *poitos*, czyli niewolników chrześcijańskich. Zabrano wszystkich do San Fernando, ponieważ jednak matka kilka razy próbowała uciekać wraz z dziećmi, postanowiono jej dzieci odebrać. Związano ją, wsadzono w łódź i wywieziono na Atabapos. Zrazu sądziła, że wraca do rodzinnej wioski, ale spostrzegłszy, że ją wiozą gdzieś w dal, rozluźniła więzy, skoczyła we wodę, a prąd zaniósł ją na skałę noszącą jej imię. Ale została złapana, oćwiczona na skałe rzemieniem ze skóry krowy wodnej, potem zaś zabrano ją z powrotem do misji w Javita.

Zamknięto ją w więzieniu, zwanem *casa del rey*<sup>79</sup>. Był to czas deszczów i noc ciemna. Lasy nieprzebyte rozciągały się na 25 mil szerokim pasem pomiędzy Javitą a San Fernando. Nikt się tamtędy iść nigdy nie ważył, a z wioski do wioski jeżdżono tylko wodą. Ale matka wiedziała, że dzieci jej są w San Fernando, a cóż jest zbyt trudnym dla matki. Poszła tedy oswobodzić je i przywieść do ojca nad Guaviare. Indianie ulitowali się nad nieszczęśliwą, która miała okrwawione ręce i rozluźnili jej pęta. Uwolniła się do reszty przy pomocy zębów i uciekła nocą. Po czterech dniach stanęła w San Fernando, pod chatą, gdzie zamknięto dzieci.

Misjonarz, który mi to opowiadał, nie mógł wyjść z podziwu. To, czego dokonała ta kobieta, przekraczało siły silnego mężczyzny. Szła przez zalane wodą lasy, w czerni, bez słońca, a jadła wielkie mrówki zwane *Tachacos*, które zawieszają na drzewach żywiczne gniazda swoje. Spytałem, czy w końcu dano spokój tej kobiecie, ale misjonarz nie chciał zaspokoić mej ciekawości. W drodze powrotnej dowiedziałem się jednak, że jej ponownie odebrano dzieci i zamknięto w misji nad górnym Orinokiem, gdzie się zagłodziła, jak to czynią Indianie z wielkiego żalu.

Taka to historia związana jest ze skałą zwaną, *piedra de la madre*.

Chciałem dać jeno obraz miłości macierzyńskiej oraz okrucieństwa niektórych ludzi białych wyposażonych w zbyt wielką władzę nad ciemnym krajowcem. Opowieść tę zamieściłem tu także w tym celu, by zwrócić na zło uwagę rządu hiszpańskiego.

Powyż ujścia Guasacari, wpłynęliśmy w rzekę Temi, która płynie z południa na północ. Szerokość Temi dosięga zaledwo 180 metrów, ale w innym jak Guajana kraju uważano by ją za znaczną rzekę. Krajobraz był wszędzie płaski i lesisty. Piękne palmy *pirijao* o owocach na kształt brzoskwiń i palmy *maurita* o kolczastych pniach sterczały ponad niską krzewiną, której nadmiar wody wyrosnąć nie dał.

Na każdej pętli rzeki las stał wielkimi partiami w wodzie. Celem omijania zakrętów Indianie wpływali w las i przesuwali się tak zwanymi *sendas*, czyli kanałami kilkustopowej szerokości, które zastępują ścieżki leśne na suchym gruncie. Są one wyjeżdżone od misji do misji, ale bujna roślinność często tamuje ruch. Dlatego też jeden z Indian stał ciągle na dziobie łodzi i ścinał krzyżujące się gałęzie nożem zwanym *machetta*, o ostrzu długim na czternaście cali. Po gęstwinach słyszeliśmy dziwny hałas i wypłoszyliśmy z nich stado wielkich toninów, to znaczy delfinów słodkowodnych, które jeły krążyć wokoło statku. Skryte były pod gałęzmi drzewa kawowego. Teraz rozproszyły się we wszystkich kierunkach, rzucając strumienie wody. Ryby<sup>80</sup> te mają rozliczne nazwy, wzięte z tej własności wyrzucania wody i dziwi bardzo widok tych stworzeń, właściwie morskich, w głębi łądu, o czterysta mil od ujścia Orinoka i Amazonki.

Około piątej zawróciliśmy, nie bez trudu, we właściwe koryto rzeki. Piroga nasza utknęła na chwilę pośród dwu pni. Zaledwośmy ją uwolnili, sternik wjechał na ścieżkę wodną mało uczęszczaną, a las otoczył nas tak gęsty, że nie można się było kierować wedle słońca ani wedle gwiazd.

Dnia 1 maja postanowili Indianie nasi wyruszyć zaraz o świcie. Wstałem przed nimi, by jeszcze zastać na niebie gwiazdę przechodzącą przez południk, ale nie mogłem dokonać pomiaru. W miarę zbliżania się do Río Negro, coraz ciemniejsze były noce w tym wilgotnym, lesistym kraju. Aż do świtu musieliśmy czekać w korycie rzeki z obawy zabłądzenia pośród drzew. Gdy słońce weszło, ruszyliśmy dalej zielonym lasem, gdyż trudno było walczyć z silnym prądem. W ten sposób dopłynęliśmy do miejsca, gdzie Temi łączy się z mniejszą rzeczką Tuamini, także mającą czarną wodę i popłynęliśmy dalej tą ostatnią

<sup>79</sup>*casa del rey* (hiszp.) — dom króla. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*ryby* — tu o delfinach w znaczeniu: zwierzęta wodne. [przypis edytorski]

na południowy zachód. Doprowadziła nas ona do misji w Javita. Tutaj, w tej chrześcijańskiej osadzie miano nam dostarczyć środków przetransportowania naszej pirogi łądem aż do Río Negro. Do samego San Antonio de Javita przybyliśmy około jedenastej przed południem.

Ku wielkiej radości spotkaliśmy w Javicie zakonnika bardzo rozsądnego i życzliwego. Spędziliśmy u niego pięć dni, gdyż tak długo trwał transport naszej pirogi, i nie tylko rozejrzeliśmy się dokładnie po okolicy, ale uwolniliśmy się od trapiącego nas już przez dwa dni swędzenia w stawach palców i wierzchu dłoni. Misjonarz powiedział, że wywołują to tzw. *aradores* (oracze), które się wgryzły w skórę. Pod lupą widać było w istocie białawe, równoległe pasy podobne do skib, od których owad wziął swą nazwę. Wezwano mulatkę, będącą lekarzem miejscowym, która miała rzekomo znać dokładnie te owady i przyrzekła nas uzdrowić. Rozgrzała nad lampą cienki odłamek twardego drzewa i zaczęła nim dłużyć w rękach naszych. Po długim szukaniu oświadczyła z powagą właściwą kolorowym obywatelom świata, że znalazła aradora. Ujrzałem coś krągłego, co przypominało jaje mola. Mulatka zapowiedziała, że wyskrobie wszystkie owady, ale wobec tego, że operacja trwała długo w noc, a rezultat był słaby, podziękowałem. Nazajutrz wyleczył nas dziwnie szybko pewien Indianin. Przyniósł gałąź krzewu *uzao* o skórzastych, lśniących liściach i namoczył ją w wodzie. Powstała ciecz niebieska, silnie pieniąca się i po umyciu w niej rąk swędzenie aradorów ustało. Nie mogłem uzyskać ani kwiatu, ani owocu *uzao*. Ból wycierpiany nabawił nas takiego strachu, że odtąd zawsze mieliśmy w pirodze gałęzie tej rośliny, która rośnie obficie nad Pimichinem. Nie wiadomo, czemu nie odkryto podobnego środka przeciw ukłuciom zankudów i mikroskopijnych akarid<sup>81</sup>.

Klimat Javity jest nader dżdżysty. Po przekroczeniu trzeciego stopnia równika rzadko miewa się sposobność obserwować słońce i gwiazdy. Deszcz pada przez cały niemal rok, a niebo ciągle okrywają chmury. Misionarz zaręczał nam, że deszcz nie ustaje tutaj często przez kilka miesięcy. Zmierzywszy deszcz, jaki spadł 1 maja w ciągu pięciu godzin, otrzymałem 47 milimetrów, zaś dnia 3 maja w ciągu trzech godzin otrzymałem 32 milimetry. Pomiarzyłem przy tym nie podczas ulewy, ale wśród deszczu normalnego. Jak wiadomo, opad paryski, nawet w najwilgotniejszych miesiącach, jak marcu, lipcu i wrześniu, wynosi za cały miesiąc tylko 63 do 67 milimetrów.

Hygrometr stał ciągle w cieniu na 84 do 92 stopni, przy czym podkreślam, że obserwacji dokonywałem, gdy deszcz ustawał na chwilę. Wilgotność wzrosła tedy, licząc od wielkich katarakt, bardzo znacznie i w tym lesistym, zalanym równikowymi deszczami kraju wynosiła tyle niemal co na morzu.

W lasach pomiędzy Javitą a Caño Pimichin rośnie dużo gatunków ogromnych drzew, stu do stu dziesięciu stóp wysokości. Ponieważ konary tworzą koronę dopiero na wierzchołku, przeto niemało kosztowało trudu dostać liście i kwiaty. Liście leżały zresztą na ziemi, ponieważ atoli w lasach tych rośnie dużo gatunków razem, a każde drzewo pokrywają liany, nie mogliśmy poprzestawać na zapewnieniach Indian, że dany liść lub owoc pochodzi z tego a tego drzewa. Wobec mnogości tych skarbów przyrody, botanika sprawiała nam dużo więcej utrapienia niżli uciechy. To, cośmy pozyskali, wydawało się niczym wobec rzeczy nieosiągalnych. Ustawiczny deszcz niweczył też ciągle Bonplandowi egzemplarze sztucznie suszonych roślin. Indianie żuli naprzód dane drzewo, zanim wymieniali jego nazwę. Umieeli lepiej rozróżniać liście od kwiatów i owoców. Nie troszczyli się o to, gdyż szło im wyłącznie o pnie na pirogi i twierdzili, że „te wszystkie drzewa nie kwitną ani nie owocują”. Przeczyli temu, czego im się zbadać nie chciało, nudziły ich nasze pytania, a nas złościły ich odpowiedzi.

Codziennie szliśmy do lasu, by zbadać, czy pirogę naszą zawleczono na oznaczone miejsce. Pracowało nad tym 23 Indian, a statek toczono na pniach służących za walce. Zwyczajną pirogę transportuje się z Tuamini do Caño Pimichinu, która wpada do Río Negro w ciągu półtora dnia, nasza była atoli bardzo duża i trzeba się z nią było obchodzić oględnie, gdyż musiała odbyć powtórna podróż przez katarakty. Toteż transport trwał przeszło cztery dni.

Czas płynął, a piroga nasza jeszcze nie była w porcie Río Pimichinu. Zaczny misjonarz pater Cereso zachęcał nas do dłuższego pobytu, mówiąc: — Wszakże wam tu nie brak

<sup>81</sup>akaridy (łac. *Acarī*) — pajęczaki: roztocza, w tym kleszcze. [przypis edytorski]

niczego! Macie banany, ryby, nie kęsają was moskity, a im dłużej zostanieie, tym więcej mieć będziecie nadziei doczekania się słońca i gwiazd. Zepsuje się wam piroga przy transportowaniu, to dam wam inną. Jestem bardzo rad, że mogę rozmawiać z ludźmi białymi i rozumnymi (*con gente blanca y de razon*). Mimo niecierpliwości słuchaliśmy z zaciekawieniem jego opowiadań o obyczajach, zwyczajach i stosunkach mieszkańców tych okolic, które zresztą potwierdzały poprzednio już zebrane wiadomości nasze. Tubylcy żyją w hordach po 40 do 50 osobników pod władzą patriarchalną, a wspólnego wodza obierają jeno w czasie walki z sąsiadami. Wzajemną zaczepność zwiększa jeszcze to, że sąsiadujące ze sobą hordy mówią odmiennym językiem.

Olbrzymi obszar ziemi pomiędzy równikiem a ósmym stopniem szerokości stanowi jeden las. Hordy rozproszyły się po nim, posuwając się w głąb wraz z zakrętami rzeki, nie mając warunków uprawiania ziemi. Labirynt rzeczny sprawił, że żadna nie wiedziała, z kim sąsiaduje. Dzięki te okolice Ameryki przywodzą na myśl pierwotny stan ludzkości, kiedy zaczynała się rozprzestrzeniać po ziemi. Nie ma tu powolnej przemiany koczownictwa i myślistwa w wyższe formy organizacji społecznej. W strefie umiarkowanej, nad Missouri i na wyżynie Meksyku jest Amerykanin strzelcem, w gorących okolicach lesistej Guajany sady on wprawdzie maniok, banany i kukurudzę, ale ziemia jest tak rodzajna, iż mały wysiłek pracy nie przywiązuje go do niej. Szczepy tutejsze zmieniają często miejsce pobytu wzdłuż tej samej rzeki. Mieszkaniec pobrzeży Orinoka zabiera trochę ziarna na zasiew i wędrując zakłada swe krótkotrwałe plantacje, czyli *conuco*, jak Arab, który przenosi namiot i zmienia pastwisko. Mnóstwo zdziczałych roślin uprawnych, znajdujące<sup>82</sup> po lasach, świadczy, iż żyje tu lud rolniczy wprawdzie, ale obyczaje posiada koczownicze. Oczywiście mowy nie ma o stałych osiedlach, uprawie zboża na większą skalę i większym obszarze, wymagającym wydatniejszej pracy.

Dnia 5 maja ruszyliśmy do naszej pirogi, która nareszcie dotarła do Caño Pimichin. Musieliśmy brnąć przez liczne strumienie pełne żmij wodnych, co wymagało pewnej ostrożności. W lasach Pimichinu drzewa dosięgają również stu dwudziestu stóp wysokości. Zdumiewająca obfitość roślin i różnorodność gatunków rosnących razem jest skutkiem wielkiej rodzajności gleby i nadmiaru wilgoci, tak że soki krążą z żywością nie napotykaną chyba nigdzie indziej na świecie.

Przenocowaliśmy w świeżo opuszczonej chacie, w której beztroska rodzina indyjska<sup>83</sup> zostawiła nawet przybory rybackie, garnki i maty plecione z лыka palmowego i powędrowała kędyś dalej.

Blotniste okolice Javity i Pimichinu są ojczyzną niezliczonych żmij. Przed objęciem opuszczonej chaty zabili Indianie dwa wielkie węże zwane mapanare, jadowite gady o rudawo czerwonym grzbiecie i białym brzuchu. W chacie zastaliśmy dużo różnych ziół, spaliśmy na nich, gdyż nie można było umocować hamaków, toteż mieliśmy trochę strachu. I rzeczywiście znalazła się rano żmija pod skórą jaguara, na której spał jeden z naszych ludzi. Indianie twierdzą, że gady te, o ile się ich nie drażni, są powolne w ruchach i podchodzą do ludzi, gdyż lubią ciepło ciała. Nad rzeką Magdaleny wpełzł istotnie wielki wąż do łóża jednego z naszych towarzyszy podróży i przespał się wraz z nim, nie czyniąc mu nic złego.

Dnia szóstego maja odbiliśmy od brzegu o świcie, zbadawszy poprzód dno i boki pirogi. Stały się one skutkiem tarcia cieńsze, ale nie popękały. Uznaliśmy tedy, że statek wytrzyma podróż trzystumilową, z biegiem Río Negro, pod prąd Casiquiare i znowu z biegiem Orinoka, aż do Angostury. Pimichin, zwany tu *cano*, czyli potok, ma szerokość Sekwany pod Tuillieriami, ale rosnące w jego korycie drzewa zacieśniają je nieraz do trzydziestu i czterdziestu metrów. Takich wysp drzewnych jest osiemdziesiąt pięć, skutkiem czego podróż trwa dość długo. Przez pięć i pół godzin płynęliśmy wzdłuż zakrętów wąskiej smugi wody, a potem nareszcie dostaliśmy się na Río Negro.

Odetchnąłem z ulgą przebywszy tę rozległą sieć wód, gdyż teraz bliższa mi stała się nadzieja dopięcia głównego celu podróży, to jest astronomicznego wyznaczenia tego ramienia Orinoka, które wpada do Río Negro, a którego istnienie raz po raz podawane było w wątpliwość i to w ciągu całych lat pięćdziesięciu. Przez cały czas podróży wzdłuż

Wąż

<sup>82</sup>znajdywać — dziś raczej: znajdować. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>indyjski (tu daw.) — indiański. [przypis edytorski]

lesistych, pozbawionych historii brzegów Casiquiare marzyłem o tym, jak o słynnym Eufracie i Oksusie.

Pośród tak bujnej przyrody człowiek traci tutaj swe znaczenie. Nic nie przeszkadza rozwojowi roślinności. Gruba warstwa próchnicy świadczy o długiej działalności organicznej. Panami rzeki są krokodyle i lwy, po lasach krążą bez obawy jaguary, pekari, tapiry i małpy. Jest to ich dziedzictwo. Rola człowieka spada do zera niemal, co przygnębia i wywołuje wrażenie, że się znajdujemy wśród jakiegoś zgoła innego świata, który nas nie wydał.

Minąwszy ujście Conorichite i misję Davipe, dotarliśmy o zachodzie do wyspy Dapa, nader malowniczo pośród rzeki położonej. Napotkaliśmy też ze zdziwieniem trochę uprawnego pola i chatę indyjską na wzgórzu. Cztery dzicy siedzieli u ogniska, zjadając jakieś ciasto czarno upstrzone, co pobudziło naszą ciekawość. Czarne cętki były to wielkie mrówki, zwane *vachacos*, ciasto zaś, wysuszone nad ogniem, usmolone było w dymie. Obok ogniska wisiało kilka worków. W chacie spało około czternastu ludzi na matach, jeden nad drugim, wszyscy zaś byli nadzy. Nie zwracali wcale na nas uwagi, gdy jednak ukazał się pater Zea, przyjęto go z oznakami wielkiej radości. Dwie młode kobiety wstały z mat, by nam przyrządzić *casave*<sup>84</sup> (pieczywo z manioku). Spytaliśmy przez tłumacza, czy ziemia jest tu rodzajna<sup>85</sup> i powiedziano nam, że maniok się nie udaje, natomiast jest to błogosławiony kraj smakowitych mrówek. *Vachacos* stanowią istotnie pożywienie Indian z nad Río Negro. Gdy *casava* była gotowa, kazał pater Zea, któremu febra nie odebrała apetytu, przynieść wędzone *vachacos*, zmieszał owady z ciastem i skłonił nas do pokosztowania. Miały smak zjełczałego masła. Maniok nie był kwaśny, ale nie mogliśmy przyznać zakonnikowi, jakoby nam smakował ten, zdaniem jego, „wyśmienity pasztet mrówczy”.

Ulewa zmusiła nas do noclegu w przepelnionej chacie. Indianie spali tylko od ósmej do drugiej, potem zaś zaczęli rozmawiać ze sobą, przyrządzając gorzki napój, zwany *cupana*<sup>86</sup>, podsycać ogień i żalić się na zimno, mimo że termometr wskazywał 21 stopni Celsjusza.

W San Carlos zamieszkaliśmy u komendanta fortu, porucznika milicji. Z galerii domu był piękny widok na trzy długie wyspy gęsto zalesione. Rzeka płynie tu prostą linią z północy na południe, jakby sztucznie wykopany korytem. Ciągłe zachmurzone niebo nadaje krajobrazowi charakter poważny, a nawet nieco posępny. We wsi napotkaliśmy dwa piękne drzewa *juvia*<sup>87</sup>, która daje trójkątne orzechy, zwane w Europie amerykańskimi lub „znad Amazonki”. Nosi ona nazwę *Bertholletia excelsa*<sup>88</sup>, a w ciągu lat ośmiu dorasta trzydziestu stóp wysokości.

Siła zbrojna wynosiła tu, na granicy, 17 ludzi, a skutkiem wilgotnego powietrza, ani cztery karabiny nie były gotowe do strzału. Szaniec, czyli, jak go tu zowią, Castillo de San Felipe, położony jest naprzeciwko San Carlos na zachodnim brzegu Río Negro. Jest to czworokątna warownia z ledwo widocznym rowem fortecznym. Posiada wszystkiego razem czternaście armat, bez lawet, pilnowanych przez dwu ludzi. Wokoło stoją trzy czy cztery chaty indyjskie. Nazywa się to wieś San Felipe, a w celu przekonania rządu madyryckiego o rozkwicie chrześcijańskich osiadłości rzekoma wieś owa posiada swą osobną księgę metrykalną. Wieczór, po oddzwonieniu na Anioł Pański, złożono komendantowi raport i zameldowano poważnie, że około fortecy panuje spokój.

Ponieważ podróż od ujścia Río Negro do Gran-Pará<sup>89</sup> trwa około 25 dni, przeto mogliśmy jechać Amazonką aż do granicy Brazylii, zamiast wracać przez Casiquiare i Orinoko na północny brzeg Caracas. Ale powiedziano nam w San Carlos, że ze względów politycznych trudno nam będzie dostać się z posiadłości hiszpańskiej na terytorium portugalskie. Po powrocie do Europy pojęliśmy dopiero całe niebezpieczeństwo takiego kierunku podróży. Życiwe dzienniki rozgłosiły w Brazylii, że ja zwiedzę misje nad Río Negro i zbadam kanał naturalny, łączący oba wielkie zlewiska wód. W tym pustkowiu nie widziano instrumentów mierniczych w niczyich rękach, jak tylko komisji granicz-

Nauka, Urzędnik, Podróż,  
Niebezpieczeństwo, Interes,  
Wiedza

<sup>84</sup>*casava* (hiszp.; łac. *Manihot esculenta*) — maniok jadalny. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*rodzajny* (daw.) — urodzajny a. uprawiany. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*cupana* — guarana, napój z nasion ciernioplątu *Paullinia cupana*. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*juvia* — właśc. *Juvianus* lub *Yuvianus*: inna nazwa nasion drzewa *Paranusbaum* (*Bertholletia excelsa*), czyli orzechów brazylijskich. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*Bertholletia excelsa* — orzesznica wyniosła, orzesznica brazylijska, bertolecja. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*Gran-Pará* (portug. Grão-Pará) — region w płn. części Brazylii. [przypis edytorski]

nej, a zaciżniejsi urzędnicy rządu portugalskiego nie mieli dotąd pojęcia (podobnie jak ów misjonarz, wspomniany w poprzednim rozdziale), „by ktoś mógł podejmować długą, uciążliwą podróż w celu mierzenia ziemi, która nie jest jego własnością”. Wydano tedy rozkaz przychwycenia mnie, wraz z instrumentami, a szło zwłaszcza o wykazy obserwacji astronomicznych, które mogły narazić państwo na wielkie straty. Schwymano by nas przeto, zawieziono po Amazonce do Gran-Pará, a potem odesłano do Lizbony.

Spędziliśmy w San Carlos del Río Negro trzy noce. Liczę noce, nie dni, gdyż czekałem przejścia przez południk którejs z gwiazd i nie zmrużyłem oka. Ale nie powiodło mi się nawet oznaczyć szerokości, chociaż instrumenty były gotowe każdej chwili do użytku. Cóż za różnica pomiędzy dwoma strefami tej samej krainy! Niebo Cumany ciągle pogodne, jak w Persji czy Arabii, i horyzont Río Negro, przysłonięty wiecznymi chmurami, jak na wyspach Far-oe<sup>90</sup> bez słońca i gwiazd! Opuściłem szaniec San Carlos z tym większym smutkiem, że nie miałem nadziei, by gdzieś w pobliżu dało się oznaczyć szerokość geograficzną.

## NA CASIQUIARE

Dnia 10 maja ruszyliśmy przed świtem w górę Río Negro, do ujścia Casiquiare, wylądowawszy nocą pirogę na nowo. Zadaniem moim było stwierdzenie istotnego biegu tej właśnie rzeki, która łączy ze sobą Orinoko i Amazonkę. Od lat pięćdziesięciu wiadano o tym naturalnym kanale pomiędzy dwoma potężnymi zlewiskami, mnie atoli przypadło zadanie stwierdzenia definitywnego i wyznaczenia geograficznego położenia. Głównie szło o punkt wpływu do Río Negro i punkt rozwidlenia Orinoka. Gdybyśmy nie ujrzeli słońca, ni gwiazd, oznaczenie to byłoby niemożliwe, a przeto daremna cała długa, uciążliwa podróż. Towarzysze nasi chcieli wracać najkrótszą drogą przez Pimichin i małe rzeczki, ja jednak i Bonpland uparliśmy się stanowczo przy pierwotnym planie, naszkicowanym podczas podróży przez wielką kataraktę. Za hańbę uznalibyśmy, gdyby nam odebrać miało otuchę pochmurne niebo lub strach przed moskitami na Casiquiare. Indyjski sternik, który niedawno był w Mandavaca, zapewniał nas wymownie, że poza czarnymi wodami Río Negro „wielkie gwiazdy zjadają chmury”, toteż wykonaliśmy zamiar powracania przez Casiquiare do San Fernando nad Atabapo i szczęściem dla celów naszych ziszczyły się słowa Indianina. Białe wody wróciły nam powoli pogodne niebo, gwiazdy, moskity i krokodyle.

W odległości ośmiu mil od szaniec San Carlos wpłynęliśmy w Río Casiquiare. Charakter krajobrazu jest tu ten sam, co nad Río Negro. Gęstwa drzew otacza brzegi. Ale Casiquiare ma białe wody i zmienia ciągle kierunek. Zrazu jest niemal szerszy od Río Negro i powyż<sup>91</sup> Vasivy mierzy 500 do 560 metrów. Sporą część nocy wyglądałem nadaremnie gwiazd. Mimo białej wody mglisto było tu jeszcze.

Jedenastego maja wyruszyliśmy dość późno, nie mając zamiaru płynąć daleko. Dolne warstwy mgły zaczęły nabierać konturów chmur, a górą wiało lekko od wschodu. Zwiastowało to zmianę pogody, toteż nie chcieliśmy się oddalać od ujścia Casiquiare w nadziei, że nocą zdołam zaobserwować przejście jakiejś gwiazdy przez południk.

Już o piątę rozłożyliśmy się obozem przy Piedra de Culimacari, samotnym bloku granitowym. W tym pustkowiu, z niewyraźnymi jeno śladami człowieka, starałem się czynić spostrzeżenia zawsze przy ujściu rzeki lub jakiejś łatwej do rozpoznania skale. Tylko takie stałe punkty mogły bowiem służyć za podstawę mapy. W nocy z 10 na 11 maja zdołałem wyznaczyć chronometrycznie dobrze szerokość, według gwiazdy alfa konstelacji Krzyża Południowego. Długość wyznaczyłem już mniej ściśle na podstawie dwu pięknych gwiazd dolnych Centaura. W ten sposób stwierdzone zostało dość dokładnie dla celów geograficznych położenie ujścia Río Pacimoni, szaniec San Carlos i punkt połączenia Casiquiare z Río Negro.

Zadowoleni tymi wynikami pracy opuściliśmy dnia 12 maja w nocy Piedra Culimacari. Plaga moskitów zwiększała się w miarę oddalania od Río Negro. W dolinie Casiquiare nie ma *zankudów*, natomiast inne komary są jeszcze zjadliwsze. Przed dotarciem do misji w Esmeralda mieliśmy spędzić w tych niezdrowych okolicach jeszcze osiem nocy pod

<sup>90</sup>Far-oe — Wyspy Owczę; dziś terytorium zależne Danii. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>powyż (daw.) — powyżej. [przypis edytorski]



gołym niebem, toteż sternik tak pokierował drogą, że mogliśmy skorzystać z gościnności misjonarzy w Mandavaca i przenocować we wsi Vasiva. Z trudem wielkim parliśmy się pod prąd, który wynosił 9 do 11 stóp w sekundzie, to znaczy około 8 mil morskich na godzinę. Ostatni obóz nocny oddalony był w linii prostej co najmniej trzy mile od misji w Mandavaca, a wiosłarze nasi pracowali dzielnie, mimo to jednak zużyliśmy na tę krótką przestrzeń czternaście godzin.

W Mandavaca zastaliśmy zacnego starego misjonarza, który spędził lat 20 w Bosques del Casiquiare<sup>92</sup> i miał ciało tak skłute przez moskity, że trudno było dostrzec jego białą skórę. Opowiadał nam o swym opuszczeniu i bezradności wobec wielu zbrodni, jakie się dzieją w misjach Mandavaca i Vasiva. W tej ostatniej pożarł niedawno pewien indyjski *alcalde*<sup>93</sup> jedną ze swych żon, wypasłszy ją poprzód należycie. Ludożerstwo nie jest w Guajanie wywołane głodem ani przesadami wiary, jak na wyspach południowych, ale żądzą zemsty nad pokonanym lub „zbożeniem smaku”. Zwyciężywszy nieprzyjacielską horde, zjadają podczas uczty zwłoki jednego z poległych. Napadłszy nocą bezbronną rodzinę albo zabłąkanego w lesie wędrowca, kroją ciało i niosą w triumfie do domu. Dzicy gardzą wszystkim, co nie przynależy do rodziny lub szczepu i polują jak na zwierzynę na członków innej hordy. Znają obowiązki względem rodziny, ale nie mają pojęcia o ludzkości całej. Toteż bez miłosierdzia mordują dzieci i kobiety szczepu wrogiego i pożerają je z apetytem po bitwie lub napadzie.

— Nie macie panowie pojęcia — mówił stary misjonarz — jak zepsute są te *famiglia de Indios*<sup>94</sup>. Przyjmuje się na przykład do wsi ludzi innego szczepu, wydają się łagodni, uczciwi i pracują dzielnie. Bierze się ich na wycieczkę (*entrada*) w celu chwytania tubylców i nagle ogarnia ich szal, rozbijają, zabierają wszystko i kryją kawałki zwłok! — Mieliśmy w pirodze pewnego Indianina, zbiegłego z nad Río Guaisia, który w ciągu kilku tygodni tak się ucywilizował, że nam pomagał ustawiać instrumenty podczas nocnych obserwacji. Był z pozoru dobronny, rozumny, tak że chcieliśmy go wziąć na stałe za pomocnika. Ku wielkiemu zdumieniu, dowiedzieliśmy się od niego, w rozmowie prowadzonej przez tłumacza, że „mięso małpy *manimonda* jest co prawda czarniejsze, ale zdaniem jego smakuje jak mięso ludzkie”. Zaręczał, że członkowie jego szczepu „zjadają jeno dłonie ludzkie, podobnie jak łapy niedźwiedzie, zaś resztę odrzucają”. Mówiąc to, wyrażał gestami wielki apetyt. Spyaliśmy go, czy i tu, w misji ma ochotę na *cheruwichabene* (mięso ludzkie), a on odparł spokojnie, że tu jadł będzie to, co *los padres*<sup>95</sup>.

Masy owadów, żyjące w tym wilgotnym klimacie niszczą, jak i nad Río Negro, młode kultury. Mimo pogodnego nieba nie opadał tu nigdy hydrometr poniżej 52 stopni. Wszędzie napotyka się wielkie mrówki sunące gromadami. Pożerają one chciwie soczyste rośliny pobraża, gdyż w głębi lasu wszystko jest lękowate i twardsze. Misjonarz chcący wyhodować sałatę lub inną jarzynę europejską musi zawieszać swój ogród w powietrzu. Napełnia kanoe dobrą ziemią i wiesza je na palach cztery stopy nad ziemią, przywiązując linami z *chiquichiqui* lub stawiając na lekkim rusztowaniu. Młode sadzonki wolne są wówczas od chwastów, robaków ziemnych i mrówek, które maszerują dalej spokojnie, nie wiedząc, co nad nimi rośnie i nie włożą na pale pozbawione kory. Notuję to na dowód, jak trudno jest człowiekowi osiągnąć coś w tych nadbrzeżnych okolicach, gdzie panuje jeno roślinność i zwierzęta.

Dnia 14 maja odpędziły nas już o drugiej w nocy od brzegu moskity i mrówki. Sądziłyśmy zrazu, że te ostatnie nie wylażą po sznurach mat. Może też spadły na nas z drzew, dość, że rady sobie z nimi dać nie mogliśmy. Rzeka zwężała się coraz bardziej, a brzegi stawały tak bagniste, że Bonplandowi z wielkim przyszło trudem dotrzeć do wielkiej karolinei<sup>96</sup> okrytej purpurowym kwieciami. Drzewo to stanowi tu, jak i nad Río Negro, największą ozdobę lasów.

Od 14 do 21 maja sypialiśmy zawsze pod gołym niebem, nie mogąc jednak podać miejscowości, bowiem kraina ta jest tak dzika i tak bezludna, iż z wyjątkiem paru rzek

Ludożerca, Obcy, Kondycja  
ludzka, Dziki, Zbrodnia,  
Morderstwo

Kolonializm, Jedzenie,  
Obyczaje

Natura, Walka

<sup>92</sup>*Bosques del Casiquiare* — lasy (puszcze) nad rzeką Casiquiare. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*alcalde* (hiszp.) — alkad, urzędnik zarządzający miastem. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>*famiglia de Indios* — rodziny Indian. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*los padres* (hiszp.) — ojcowie, tu: misjonarze. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>*karolinea* — pachira, rodzaj drzew tropikalnych. [przypis edytorski]

Indianie nie znali nazw punktów, które zdejmowałem kompasem. Zdołałem przy pomocy obserwacji gwiazd oznaczyć szerokość na przestrzeni całego stopnia.

Im bliżej mieliśmy rozwidlenie Orinoka, tym uciążliwsze były noce. Nawet ten, kto obeznany jest z bujnością tropikalną, pojęcia mieć nie może o szalonym rozpasaniu roślin w tych okolicach. Brzegi nikną, a ściana liści i pni stanowi ramę rzeki. Mieliśmy przed sobą kanał czterystumetrowej szerokości, ujęty w liany, i nie było sposobu wylądować. Często szukaliśmy o zachodzie przez godzinę przeszło nie już brzegu, ale kawałka ziemi mniejszą okrytego gęstwą, tak by Indianie mogli wyrąbać siekierami przestrzeń potrzebną dla kilkunastu ludzi na obóz. O nocowaniu w pirodze mowy nie było. Dręczące nas za dnia moskity pokrywały wieczorem warstwą *toldo*, czyli dach z liści palmowych, słońcy nas od deszczu. Popuchły nam ręce i twarze. Dumny ze swych moskitów u katarakt pater Zea musiał przyznać, że nigdzie tak złośliwych nie ma owadów, jak na Casiquiare. Pośrodku gęstwy leśnej trudno nam było wielce o drzewo opałowe, gdyż wszystko jest tu tak soczyste, że się nie chce palić. W braku stałych brzegów, nie mieliśmy też suszu „ugotowanego w słońcu”, jak mówią Indianie. Ognia potrzebowaliśmy właśnie dla ochrony przed zwierzętami, a oszczędziliśmy go na przyrządzenie potraw, korzystając z resztek zapasów naszych.

Osiemnastego maja dotarliśmy do miejsca, gdzie na brzegu stały dzikie kokosowce. Deszcz lał, ale liany tworzyły wcale dobry dach, który Indianie uszczelnili jeszcze pędami helikonii i muzacei. Ogniska oświetlały pnie sześćdziesięciostopowej wysokości i festony okrytych kwiatami lian, a dym wił się wskroś nich, co tworzyło przepyszny obraz. Trudno było jednak korzystać z wypoczynku, gdyż za każdym oddechem wciągaliśmy w usta fale moskitów.

Podczas ostatniego noclegu przydarzyło nam się coś, co zaznaczam dla zobrazowania podróży naszej przez te dzikie kraje. Ledwośmy rozłożyli obóz, rozległ się z kępy pobliskich drzew wrzask jaguara. W gęstwie tej żyją jeno zwierzęta mogące łązić po drzewach, a więc wszelkie rodzaje kotów, czwororęki, wiwery itp. Nawykli do niebezpieczeństwa i nie zwracając nań systematycznie, rzec można, uwagi, niceśmy sobie z tego nie robili. Pies nasz, wielki dog, szczekał przez czas jakiś, potem jednak skrył się, skowycząc, pod nasze maty. Zdziwiła nas bardzo bojaźliwość dzielnego dotąd zwierzęcia. Rano okazało się, że pies znikł. Widocznie porwały go jaguary, gdy, nie słysząc już ich wrzasków, oddalił się poza obóz. Nad rzeką Magdaleny i nad Orinokiem opowiadano mi nieraz o starych, przebiegłych jaguarach, które porywały nawet z samych obozów zwierzęta, ścisnąwszy im gardło, by nie mogły krzyczeć. Czekaliśmy na psa długo, lecz daremnie. Po trzech dniach, wracając tędy, szukaliśmy wszędzie psa, który nam towarzyszył od samego Caracasu<sup>97</sup> i mnóstwo razy umknął wplaw przed krokodylami. Niestety został rozszarpany przez jaguary. Wspominam o tym, by dać wyobrażenie o obyczajach tych pstrych drapieżców.

Dwudziestego pierwszego maja wpłynęliśmy w odległości trzech mil od Esmeraldy z powrotem w łożysko Orinoka, które opuściliśmy przed trzema miesiącami przy ujściu Guaviare. Od Angostury dzieliło nas jeszcze 750 mil morskich, ale mieliśmy płynąć z biegiem rzeki i to sprawiło nam wielką ulgę w cierpieniach. Płynąc w dół, można się trzymać środka łożyska, gdzie jest znacznie mniej moskitów, natomiast posuwając się w górę, trzeba kołować przy brzegach ze względu na prąd i plaga ta daje się więcej we znaki.

Słynny punkt rozwidlenia się Orinoka przedstawia wspaniały obraz. Naprzeciwko, na prawym brzegu, leży amfiteatralnie granitowe gniazdo Duidy. Misjonarze uważają za wulkan tę górę wysoką na 8 tysięcy stóp. Stroma jest od południa i zachodu i wygląda imponująco ze swym nagim, kamiennym szczytem. Na łagodniejszych jednak stokach, gdzie jest jeno trochę ziemi, okrywają ją potężne lasy. U stóp Duidy leży misja Esmeralda, wioska o osiemdziesięciu mieszkańcach, rozłożona na równi poprzecinanej pasmami czarnej, ale czystej wody. Jest to rzeczywista łąka, na której widnieją grupy palm *auritia*, amerykańskich drzew sagowych.

W Esmeraldzie nie zastaliśmy misjonarza, a ksiądz, odprawiający tu nabożeństwo, mieszkał o pięćdziesiąt mil dalej w Santa Barbara. Musi podróżować cztery dni pod prąd

<sup>97</sup>Caracas — dziś ndm.: od Caracas. [przypis edytorski]

rzeki, toteż przybywa tu ledwo kilka razy w ciągu roku. Przyjął nas bardzo życzliwie pewien stary żołnierz, biorąc za kramarzy katalońskich, handlujących z misjami. Ujrzawszy nasze papiery przeznaczone do suszenia roślin, rzekł z uśmiechem: — Tutaj nie znajdziecie zbytu na taki towar. Pisujemy niewiele, a suchych liści bananów i kukurydzy używamy, jak wy w Europie papieru, do zawijania małych przedmiotów, np. igieł, szpilek i haczyków na ryby! — Stary żołnierz był przedstawicielem władzy świeckiej i duchownej zarazem, uczył dzieci, nie katechizmu co prawda, ale odmawiania różańca, dla rozrywki dzwonił w kościele, a czasem uniesiony gorliwością wykorzystywał swój strój kościelny w sposób, który nie bardzo się podobał tubylcom.

Esmeralda słynie z wyrobu kurary, trucizny używanej podczas łowów i w walce. Jest to jedna z najbardziej zabójczych substancji.

Nie byliśmy chorzy, ale osłabiła nas długa podróż, komary, złe jedzenie i przesiadywanie w wilgotnym, ciasnym kanoe. Nie posunęliśmy się w górę, płynąc do okolic poza ujściem Río Guapo, co uczynić należało dla zbadania jego źródeł. Byliśmy jednak tylko prywatnymi podróżnikami, którym pozwolono zwiedzać misje, i musieliśmy się ograniczać do spokojnych krain. Guapo dzieli jeszcze 15 mil od *raudalu* Guahiribów, na nim zaś czuwają ciągle Indianie z lukami, nie pozwalając dalej na wschód białego ani nikogo, kto przybywa z posiadłości tego punktu, na którym zatrzymać się musiał don Francisco Bovadilla<sup>98</sup>, komendant wojsk znad Río Negro, gdy szedł ze zbrojnymi. Rzeź, jaką wówczas urządził pośród dzikich, rozjuszyła ich jeszcze bardziej przeciw mieszkańcom misji i uczyniła podejrzliwymi.

## Z BIEGIEM RZEKI

Piroga nasza gotowa była do drogi dopiero około trzeciej w nocy, gdyż musiano ją oczyścić z mrówek, które się rozgnieździły w ścianach podczas podróży po Casiquiare, oraz w dachu z liści palmowych, pod którym trzeba było leżeć na wznak jeszcze przez dni dwadzieścia dwa.

W chwili odbicia od brzegu zbiegli się wokół nas ludzie, rzekomo biali, hiszpańskiego pochodzenia, błagając, byśmy się wstawili za nimi u namiestnika w Angosturze, by im zezwolił wrócić w stepy (*llanos*). Gdyby im łaska ta została odmówiona, prosili przynajmniej o przesiedlenie do misji nad Río Negro, gdzie jest chłodniej i mniej komarów. — Jakkolwiek winy nasze są wielkie — mówili — odpokutowaliśmy już chyba dwudziestoletnią męką pośród tych moskitów!

Nasłuchawszy się tyle o tych strasznych owadach, trudno pojąć, by zniknięcie ich niespodziane mogło napełnić ludzi niepokojem. Opowiadano nam w Esmeraldzie, że pewnego wieczoru, w roku 1795, w porze wieczornej, kiedy zazwyczaj moskitów najwięcej w powietrzu, znikły one nagle na całą godzinę. Nie było ni jednego mimo pogody i ciszy powietrza, co zapowiadało deszcz bliski. Trzeba żyć w tych krajach, by zrozumieć, jak dalece zjawisko to musiało wszystkich zdumieć. Winszowano sobie wzajem i pytano, czy owa *felicidad* (szczęśliwość), owo *alivio* (ulga) długo potrwać może. Za chwilę jednak miast radości i rozkoszowania się ulgą, wszyscy uczyli strach przed wytworami własnej wyobraźni. Mówiono sobie, że prawa natury doznały wstrząsu, a miejscowi uczeni i starzy Indianie prorokowali straszliwe trzęsienie ziemi. Kłócono się, nadśluchiowano najłżejszego szmeru liści, gdy zaś powietrze napełniły z powrotem moskity, nastąpiła ogólna radość. Niepodobna powiedzieć, co wywołało owo zjawisko, odmienne zresztą całkiem od normalnej zmiany gatunków w poszczególnych porach dnia, ale zainteresowało nas żywe opisywanie go przez tubylców, jako dowód, że człowiek czuje nawykową skłonność do znanych dobrze cierpień codziennych.

Z podróży naszej od Esmeraldy do ujścia Atabapo mógłbym podać jeno opis rzek i bezludnych miejscowości.

Dnia 31 maja przebyliśmy wodospady Guahibo i Garcity. Przed zachodem słońca zwiedziliśmy położoną na wschodnim brzegu jaskinię Ataruipe, mieszczącą, zda się, groby całego wygasłego plemienia. Słynie ona pośród tubylców.

Cierpienie, Kondycja ludzka

<sup>98</sup>Francisco Bovadilla, właśc. Francisco de Bobadilla (zm. 1502) — hiszp. konkwistador. [przypis edytorski]

Wchodzi się na nagą skałę granitową, tak śliską, że gdyby nie twarde, trudno wietrzące kryształki feldszpatu<sup>99</sup>, nie byłoby o co zaczepić nogi. Ze szczytu góry widać archipelag wysp, porośniętych palmami, rozrzuconych po spienionym łożysku rzeki. Od zachodu na lewym brzegu rozłożyły się sawanny nad Metą, podobne z dala do zielonego jeziora.

Słońce oświecało samotną górę stożkową Unianę, tym wyższą z pozoru, że tonącą dołem we mgle. Pod nogami ujrzelśmy krągłą zamkniętą dolinę, ponad którą unosiły się drapieżne ptaki, rzucając na skały przelotne cienie.

Przez wąską grzbietowinę<sup>100</sup> dotarliśmy na drugi szczyt, krągły, zarzucony ogromnymi blokami granitu. Masy te miały po kilkadziesiąt stóp średnicy i były tak dokładnie kuliste, że w jednym jeno punkcie, rzecz można, stykały się ze sobą, za najmniejszym wstrząśnięciem gotowe runąć na dół. Nie pamiętam tego rodzaju naturalnych wytworów wietrzenia granitu.

Na planie dalszym, gdzie zbocze pokrywał gęsty las, było wejście do groty Ataruipe. Jest to nie grota właściwa, ale wyskok skalny, w którym siły przyrody wyłobily dużą wklęsłość. W cmentarzysku tym całego wygasłego ludu naliczyliśmy rychło około 600 doskonale zachowanych szkieletów, które leżały w tak regularnych szeregach, że trudno się było pomylić w liczeniu. Każdy spoczywał w koszu, uplecionym z żeber liści palmowych. Kosze te, zwane *mapires*, tworzą coś w rodzaju worów, a są tak przystosowane do rozmiarów zwłok, że nawet zmarłe noworodki mają swoje własne koszyczki. Szkielety są zgięte w pół i tak kompletne, iż nie brak żadnemu jednemu stawu palcowego. Zmarłego kładą tu na czas jakiś do ziemi, by mięso zeszło z kości, po czym szkielet skrobią ostrymi kamykami do czysta.

Trudno określić wiek tych szczątków, nie ma chyba szkieletów starszych nad lat sto, ale mogły się one w powietrzu tak suchym zachować także znacznie dłużej w pierwotnym stanie. Wedle legendy Indian plemienia Guahibo, wojowniczy Aturowie schronili się przed Karaibami na tę skałę pośród wielkich katarakt i z wolna wyginał ten szczep, wraz z językiem swoim.

W milczeniu wracaliśmy do łodzi, pogodną, cichą nocą przelśnioną gwiazdami, a ponad ziemią wirowały rdzawo błyszczące chmury komarów. Ściany cmentarnej groty pokrywały sploty woniejącej wanilii i festony bignonii, a na wierzchołku chwiały się z lekka smukłe pnie palm.

Pozostaliśmy w misji Atures tak jeno długo, jak trwał transport pirogi naszej przez wielką kataraktę. Postępować z nią należało ostrożnie, gdyż dno i boki ścieńczały<sup>101</sup> wielce od tarcia. Pożegnaliśmy zacnego ojca Zeę, który został w Atures, po dwumiesięcznej wspólnej wędrówce i dzielonych z nami utrapieniach. Trapiła go dotąd febra, ale przywykł do niej już i nie zwracał na nią wcale uwagi.

Odwążyliśmy się przebyć w zużytej pirodze naszej ostatnią część *raudalów* Ature. Wysiadając raz po raz, przekraczaliśmy skaliste progi, łączące poszczególne wyspy. Na samotnych tych rafach gnieździ się kurka skalna, o złocistym upierzeniu, najpiękniejszy może z ptaków podzwrotnikowych. Zatrzymaliśmy się przy *raudalito* Canucari, utworzonym z ogromnych, spiętrzonych zwalów granitu. Bloki te, mające często kształt sferoidy o kilku stopach średnicy, leżące na sobie, tworzą obszerne jaskinie. Weszliśmy do jednej w celu zebrania nitkowatych porostów wodnych okrywających ściany. Mielśmy widowisko najciekawsze może z oglądanych nad Orinokiem. Ponad głowami naszymi płynęła potężna rzeka, dostęp mieliśmy otwarty, a tuż przed nami ogromnym łukiem rzucał się w dół wodospad, tworząc ścianę wodną. Nie wszystkie jednak ściany groty były tak szczelne, jak się wydawało zrazu i gdzieniegdzie widzieliśmy spore pasmo wody.

Wypadło nam jednak zażywać dłużej tego pięknego widoku niżliśmy pragnęli. Nasza piroga miała przepływać wąski kanał przy brzegu, zatoczyć łuk i zabrać nas po drugiej stronie zapory. Czekaliśmy jednak półtorej godziny nadaremnie. Nadeszła noc, a z nią burza. Lalo jak z cebra. Obawialiśmy się, że piroga nasza rozbiła się o skały, a Indianie wrócili po prostu do misji, obojętni jak zawsze, gdy idzie o innych. Zostaliśmy we trzech tylko, przemoczeni, zatrwożeni losem łodzi, i nie było innego wyjścia, jak tylko spędzić

<sup>99</sup>*feldszpat* — kalcyt. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>*grzbietowina* — grzbiet, grań. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>*ścieńczeć* — stać się cienkim. [przypis edytorski]

noc wśród huku wody, w przeciekającej grocie. Bonpland powziął myśl, by, zostawiwszy mnie z don Mikołajem Sotto, przebyć wpływ rzekę i uzyskać pomoc ojca Zei z misji. Z trudnością zdołaliśmy go powstrzymać od tego niewykonanego planu. Nie znał wcale labiryntu kanalików i wirów w poszczególnych miejscach i nie dotarłby przenigdy do misji. Nagle przekonaliśmy się, że Indianie fałszywie nas poinformowali o nieobecności krokodyli wśród katarakty. Przynieśliśmy tu ze sobą klatki z małpami i postawili na skale. Przemoczone zwierzątka zaczęły piszczeć i to zwabiło dwa krokodyle, widać stare, gdyż pancerz miały ołowianoszary. Mrowie nas przeszło na wspomnienie kąpieli naszej pośrodku samego *raudala*. Po długim czekaniu ujrzelśmy na koniec Indian. Sternik nie mógł przejechać zbyt płytkim kanałem i długo szukał lepszej drogi pomiędzy wysepkami. Piroga nie uległa na szczęście katastrofie i w niespełna pół godziny załadowano na nią z powrotem instrumenty, zapasy i zwierzęta nasze.

Misja Uruana posiada<sup>102</sup> niezwykle malowniczą okolicę. Mała wioska indyjska oparta jest o wysoką górę granitową, a wszędzie spośród drzew i ponad ich czubami sterczą złomy i słupy skalne. Od strony domu misyjnego Orinoko wygląda wspaniale. Ma tutaj przeszło pięć tysięcy metrów szerokości i płynie prosto, ku wschodowi, bez zakrętów, niby olbrzymim kanałem sztucznym.

Misję zamieszkują Otomakowie<sup>103</sup>, jeden ze szczepów najniżej kulturalnie stojących. Jedzą oni ziemię, to znaczy przez kilka miesięcy w roku dla zaspokojenia głodu łykają wielkie ilości ziemi, bez szkody dla zdrowia. Podczas niskiego stanu wody w Orinoko i dopływach żywią się rybami i żółwiami, które zabijają nader zręcznie za pomocą strzał w chwili pokazania się ich na powierzchni wody. Gdy rzeka wzbierze, ustaje rybołówstwo, a wówczas wracają Otomakowie do jedzenia ziemi, której całe masy gromadzą po chatach. Są to kule o kilku calach średnicy i składają się z tłustej gliny. Otomakowie przypisują sytość temu właśnie jadłu, nie zaś małym ilościom dodatkowego pożywienia, jakie przelotnie zdobyć mogą.

Rzadko spędzaliśmy noce na lądzie, chociaż plaga moskitów malała coraz to bardziej w miarę posuwania się w dół rzeki. Dnia 8 czerwca wylądowaliśmy naprzeciw ujścia Río Apure, gdzie Orinoko zwraca się na wschód. Ujrzelśmy złomy granitowe sterczące stromo z ziemi, a z ich szczytu zobaczyliśmy w stronie północnej *llanos*, czyli stepy, ciągnące się aż do krańców widnokregu. Nawykli od długiego czasu do ogromnych lasów, doznaliśmy silnego i nowego wrażenia. Po zachodzie stepy nabrały szarozielonej barwy, a że widok zamykała sama jeno kulistość ziemi, wydawało się, iż gwiazdy wschodzą z toni morza. Najwytrawniejszy marynarz uległby zapewne temu wrażeniu.

Dnia 9 czerwca napotkaliśmy dużo statków z towarami, płynących przy pomocy żagli w górę Orinoka, a potem Apury. Była to uczęszczana linia wodna pomiędzy Angosturą i prowincją Varinas. Tędy udał się z powrotem do domu towarzysz nasz don Mikołaj Sotto.

Z wielką radością wylądowaliśmy w Angosturze, stolicy hiszpańskiej Guajany. Wracaliśmy z krajów bezludnych niemal, toteż miasto sześciotysięczne wydało nam się niezwykle ożywione. Otoczyła nas atmosfera celowo zorganizowanej pracy, skromne pokoiki uznaliśmy za apartamenty, a każdy, kto się do nas odezwał, wydał nam się człowiekiem wprost genialnym.

Przykra sprawa zatrzymała nas niestety przez cały miesiąc w Angosturze. Bonpland zapadł na gorączkę i po kilku dopiero tygodniach mogliśmy ruszyć dalej. Przepląnąwszy po raz ostatni Orinoko, pojechaliśmy przez stepy Wenezueli, docierając 23 lipca do miasta Nueva Barcelona, mniej ucierpiawszy od żaru *llanos*, do czego przywykliśmy, niż z powodu zawiei piaszczystych, które nam poraniły skórę. Potem pożeglowaliśmy do Cumany łodzią, wiozącą kakao. Dnia 16 listopada pożegnaliśmy towarzyszy, udając się do Hawany. Noc była rozkosznie chłodna. Patrzyliśmy długo ze wzruszeniem na białe, coraz to dalsze brzegi i palmy Manzanaresu, oświetlone księżycem.

<sup>102</sup>Misja Uruana posiada niezwykle malowniczą okolicę — raczej: Misję Uruana otacza niezwykle malownicza okolica. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>Otomakowie — wymarły dziś lud, zamieszkujący jeszcze w XIX w. stan Apure w Wenezueli. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/humboldt-podroz-po-rzece-orinoko>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Humboldt, *Podróż po rzece Orinoko*, tłum. F. Mirandola, Instytut Wydawniczy "Zdrój", Warszawa [1925].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Eine Publikation im Rahmen des Projektes Wolne Lektury. Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Anna Kowalska, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0314-5

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).